

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

317152

22

OWS

TAN

~~1429~~

KAROLINA
SPEER

KAZIMIERZ LASKOWSKI



LICYTANCI

SZKICE
Z ŻYCIA



WARSZAWA

NAKŁADEM

KSIĘGARNI

TEODORA PAPROCKIEGO i S-ki

NOWY ŚWIAT 41

1900

KAROLINA SATALECKA

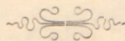
LICYTANCI.

~~Nr 1429.~~

Kazimierz Łaskowski.

LICYTANCI

SZKICE Z ŻYCIA.



1922.

WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI
TEODORA PAPROCKIEGO I S-ki
41. Nowy-Swiat 41.

1900.

Druk. P. Łaskatora i W. Fabickiego

KABOINA SATELETA

Дозволено Ценаурою.
Варшава, 27 Февраля 1899 года.



317152

K. 2173/60

KAROLINA SATALUCKA

I.

Zamiast wstępu.

Dzień powszedni, nie Sobota i nie święto.

Godzina siódma rano.

Na ulicach „czarnej“ publiczności mało, pojazdów nie wiele. Kilka kucharek i młodszych śpieszy po sprawunki. Słychać urywane zdania śmiech, czasem westchnienie. Jedna drugiej radzi, opowiada, zwierza się z tajemnic serca i koczyka. Parę dorożek dąży wolnym klusem na dworzec kolei Nadwiślańskiej. Dorożkarze siedzą, skurczywszy nogi, półbokiem, przy pomieszczonych na kozłach kufrach,

koszach i tobołkach. Podróźni przecierają zaspane oczy.

W głębi ulicy dudnią furgony piekarskie i rzeźnicze. Woń świeżego pieczywa przesyca chłodną atmosferę poranka.

Skrzypnęły zasuw y wrzعیądze.

Tu i owdzie otwierają sklepy. Sklepikarze przecierają zamglone nocnym oparem szyby wystaw, ziewając głośno. Na rogach ulic pojawiają się czerwone czapki. Pośłańcy przychodzą na „stacye“. Gromadki murarzy, stojąc przy rozpoczętych budowlach, przypatrują się obojętnie zawieszonemu w górze rusztowaniu. Tam, na wyżynach, codzienny kawałek chleba, lub... śmierć niekiedy. Kilku tragarzy, przewiązanych parzianą taśmą, kilku traczy z piłami i siekierami, kilkanaście kobiet wiejskich z blaszankami mleka.

Wszystko zaczyna pracować, lub czeka na pracę i zarobek.

Przed narożną kamienicą stoi chłopak cukierniczy z miotłką kogucich piór w ręce. Zwrócony

do „zakładu“ tyłem, patrzy przed siebie z sentymentem błogiej bezkarności. Właściciel-chlebobawca śpi jeszcze.

Gapi się, poświstując przez zęby. Wydobył z zacukrzoney kiezszeni makaronikowe ciastko, obejrzał, ugryzł, podparł się pod boki, i czeka na pierwszego gościa.

Cukiernia — nie cukiernia.

Pokostowane ściany brudne. Na półkach kilkanaście słoików szklanych, napelnionych do połowy kolorowemi cukierkami: osmarzane migdały, skórka pomarańczowa, korzeń tataraku, „słodkie drzewo“, lukrecya, makagigi. Na platerowanych krążkach i blachach „ciastka z jabłkami po trzy kopiejki sztuka“, jak świadczy napis, wykaligrafiowany na załuszczoneym kawałku brystolu, „babki śmietankowe“, „paluszki z rodzynkami“, „ptysie wydymane z lukrem“. W kącie, obok bufetu z butelkami wódek, na obitym mosiężną blachą stoliku buchający parą samowar.

Na brudnych ścianach kilka okop-

conych dymem tytoniowym oleodruków, lustro w odrapanej z po-
złoty gipsowej ramie, wagowy zegar, dwa kalendarze „do zdzierania“, chrześcijański i żydowski, i ogłoszenia w dwóch językach: „Szkłanka herbaty 3 kop., kawa biała 5 kop., czarna 2½ kop.“. Tanio!

Cztery kryte ceratą stoliki, kilka „wiedeńskich“ krzesełek, wisząca zapstrzona lampa, wieszadła na rzeczy, rozrzucone po stolikach trzcinowe ramki z dziennikami, — oto wszystko.

W drugim, sąsiednim pokoju stoi bilard, zaplamiony, ze śladami nie-
wprawności graczy na pocerowanem zielonem suknie. W rogu wiązka kijów bilardowych ze „steinkelerem“, opartych o ścianę, niby tyczki od chmielu. W oknach szare w brunatne pasy rolety i zarzewiały wentylator.

Samowar syknął głośniejsz.

Chłopak apatycznie zawrócił do wnętrza. Poprawił wrzący imbryk, strzepnął na chybił trafił miotelką

po słoikach i ciastkach, wsparł się o „ładę“ i ziewał.

Z ulicy dolatywał szmer głosów, urywane, gardlane dźwięki i szepoty:

— A licytacye!.. a upadloszcz!.. a syndyk!..

Po chwili do cukierni wyspało się z harmidrem kilkanaście różnego wieku osobistości. Dobrzy znajomi widać, choć różnili się zewnętrznym wyglądem i odzieżą, mówili sobie po imieniu.

— Dzień dobry, Izrael!

— Dzień dobry, Haskiel!

— Wie geec? Szmul!

Zasiedli przy stolikach—mówiąc

— Mały! herbaty!

I rozmawiali w dalszym ciągu—
wykrzykując co chwila:

— A funfe! a dreihundert, sechs und zwanzig! a kerbel!

Cukiernią trząśł szwargot, kłose z cukierkami brzęczały. Chłopak krzątał się około samowara.

Jeden z gości, najporządniej ubrany, któremu inni zdawali się ulegać, ujrawszy wchodzącego

roznosiciela gazet, powstał żywo i wyrwawszy mu z rąk najświeższy numer „Warszawskiego Dniwnika“, zaczął z niezwykłym ożywieniem wodzić gorączkowym wzrokiem po ostatniej stronce pisma.

Towarzysze otoczyli go kołem.

Zapanowało milczenie, przerywane charakterystycznym, niecierpliwym chrząkaniem.

Dowódcą czytał urzędowe ogłoszenia mających się odbyć licytacji: „Komisarz sądowy... i t. d.“

Sluchano, uśmiechając się, mławszcząc mięsistemi wargami.

Chwilami rozbrzmiewało żądanie:

— Głośniej! głośniej!

Lub:

— Still! still! noch a mal! noch a mal!

Niektórzy robili notatki, szwargocząc półgłosem do siebie:

— Wspólne-gass... Numero sechzen a Mebel... Bugaj numero acht und zwanzig, pierzynkes, gardebe... A biżuterie, upadłuszcz...

I tym podobnie.

Robiło się znów gwarniej.

Szwargot wzrastał, przeradzając się w głuche huczenie, twarze wyrażały głębokie zadowolenie, z pierśsi wybiegały radosne okrzyki:

— A gute Geszeft! Mach a spółke! Gib a odstępn!

Niekiedy rozmowa przechodziła w kłótnię.

Przyskakiwano z zapalczywością do siebie, krzyczano, wygrazano sobie pięściami, plując bez ceremonii na podłogę.

Ale po chwili następowała zgoda, kłótnia cichła, ręce po przyjacielsku wyciągały się na znak pojednania.

Dzielono się upatrzonym interesem, zawierano umowy, tworzone spółki, popijając z cmokiem wystudzoną herbatę.

Wreszcie przywódca złożył gazetę i spojrzął na zegarek:

— Schon! schon! — rozkazał. —

— Acht und halbe!

Towarzysze, jak na komendę, powstałi z krzesel i po kilku zaczęli wysuwać się na ulicę, roz-

chodząc się w różnych kierunkach po mieście.

W cukierni zrobiło się znów pusto.

Chłopak, sprząając opróżnione szklanki, ziewał ospale i mruzczał:
— Licytanci.

Tego dnia kilka rodzin straciło resztkę mienia, pożegnało lżą gorzką ostatnią sukienkę.

A jednak był to dzień dobry dla niektórych... Ktoś przecie z arobić musi, gdy inni tracą.



II.

„Za drogo.“



Dobry chłop z tego Karola. Złoty humor na zawołanie i serce słote. Przeszedł w życiu dużo, a jednak nie zgoryczał. Najsmutniejszy fakt bierze z humorystycznej strony. Wszyscy też do niego, jak w dym, po radę, czy pomoc... Pomódz, nie zawsze pomoże, bo i u niego krucho, ale doradzić, doradzi, a przy najmniej pocieszy.

Miałem zmartwienie. Zażyrowałem weksel, wypadło zapłacić. Nie spodziewałem się tego, pieniędzy nie miałem; wierzyciel, po dłuższej zwłoce, odstąpił wyrok żydowi, nałożywszy areszt na moje kawaler-

skie graciki. Wyznaczono licytację, nie widziałem sposobu wybrnięcia.

Przyszedł mi na myśl Karol. Idę do niego. Trzeba trafu — spotykam go na ulicy.

Musiałem mieć bardzo strapioną minę, bo, ujrzawszy mnie — spytał na wstępie:

— Cóżś taki smutny? Czy ci się stróż kłaniać przestał?

Nie rozumiałem tego pytania, lecz nie mając ochoty do żartów, opowiedziałem pokrótce, w czym rzecz.

Roześmiał się swym basowym, bezdźwięcznym głosem.

— Głupstwo, mój kochany. Myślałem, że ci się stróż przestał kłaniać.

Pociągnął mnie do najbliższej cukierni, kazał dać kawy i zaczął mówić:

— Głupstwo! Nie w takich tarapatkach bywałem. Od tego się nie umiera. Podobnych przygód miałem... no... co tu gadać!.. bez liku; i gorzej jeszcze bywało... Stróż mi się już nie kłaniał.

— Wyjeżdżasz ciągle z tym stróżem! Nie nie rozumiem — prze-rwałem nieco urażony.

— No, no! — podchwycił żywo — nie sądź, że kpię. Chcesz, to ci powiem wypadek z własnego życia. Może ci się to na co przyda.

Twarz Karola straciła na chwilę zwykły wesoły swój wyraz. — W oczach przesunęło mu się jakieś bolesne wspomnienie.

Skinąłem głową na znak zgody.

Na ustach Karola zaigrał znów uśmiech sarkastyczny. Popił kawę.

— Posłuchaj tedy — zaczął,niżając głos. — Przedewszystkiem muszę ci wyjaśnić, dlaczego, jak powiadasz, wyjeżdżam ze stróżem. Stróż, mój kochany, to figura! Dopóki jesteś u niego w łaskach, póki jesteś dobrze widzianym, pół biedy. Możesz być z gospodarzem na bakier, z rządcą drzeć koty — nie to! Ale z chwila, gdy ci się już sam stróż zaprzestaje kłaniać, zdechł pies! Straciłeś na opinii zupełnie, innemi słowy, nie jesteś

wart marnego dychacza... Gorzka to chwila... Miałem taką.

Zamyślił się. Po chwili, zapaliwszy papierosa — mówił:

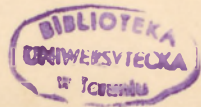
— Byłem wtedy podrzędnym urzędnikiem na koleji, pobierałem trzydzieści rubli pensyi na miesiąc. To nie tak, jak dziś... Po dziesięciu latach okrągłe siedmdziesiąt pięć... I ożeniłem się z miłości. Za żonę nie wziąłem, jak to mówią, na owinięcie palca. Moja Zocha nie miała nic. Pobraliśmy się. Na koszta ślubne i skromne mebelki zaciągnąłem pożyczkę u lichwiarza. Przepisywałem po nocach różnego rodzaju kopie i dublikaty, przepuszczając, że z tego źródła dług spłace. Mieszkaliśmy na Tamce, w drugiej oficynie, na trzecim piętrze. Pokoik z nyżą i kuchenką. Zocha czas pewien chodziła do magazynu... Z początku szło jakoś... Wierzyciel odbierał regularnie każdego pierwszego piętnasto-rublową ratę. Po roku mogłem być wolnym, mogłem spłacić pożyczzone sto rubli...

Westehnął.

— Ale już w piątym miesiącu naszego pożycia zapadłem na oczy... Zapalenie, czy coś... nie wiem, bo nie wzywałem lekarza... Nie było na to jakoś czasu i grosza... Nie mogłem pracować przy świetle. Dochodów ubyło. W dodatku i Zocha nie mogła chodzić dłużej do magazynu... Zaległem z jedną, drugą ratą... Wierzyciel nacierał, napewno chodził. Prosiłem o zwłokę, opłacałem się ostatnim groszem. Za każdą bytnością lichwiarza wtykałem mu rubla, dwa, byle czekał cierpliwie. W końcu i to ustało. Nie miałem... Otrzymałem wezwanie do sądu. Zapadł wyrok zaoczny. Nie broniłem się, bo i po-co? Zresztą, co innego miałem wtedy na głowie...

W oczach Karola zajaśniało wzruszenie.

— Znasz mego Staszka? Zdał do pierwszej klasy... Zuch chłopak! Taki gość miał wtedy do nas zawitać. Zosia była coraz słabszą. Bez służącej nie sposób. Przyją-



łem dymisyonowaną kucharkę. Dobrze babsko, choć pijaczka... Zmarła po roku w szpitalu. Przed śmiercią przysłała do nas z prośbą... Chciała zobaczyć Staszka. Zaprowadziłem malca, bo jakże umierającemu odmawiać? Nazywała się Tekla Przypisek... Szczególne nazwisko! Leży na Bródnie.

Zawołał o świeżą kawę, żartując, że „może być bez cykoryi“. Dobry chłop! Nigdy go humor nie opuszcza.

— Otóż, mój drogi — opowiadał po małej przerwie — miałem zostać ojcem. Zapomniałem o wszystkim w takiej chwili... rozumiesz... Bóg dał dziecko. Infant, panie, co się zowie infant! Ale Zocha nie mogła długo przyjść do siebie. Zanośliło się na dłuższą chorobę... bez lekarza ani rusz! Zastawiłem trochę garderoby... ślubne ubranie... potem obrączki... Wziąłem z zarządu zaliczkę... wytrącili zaraz na pierwszego. Co? miła sytuacja? hm!?

Zaśmiał się sucho.

Jednego dnia przychodzę z bióra... Żona siedzi na łóżku i płacze... „Co takiego?“ — pytam. Pokazała mi drżącą ręką na mebelki. Spojrzałem. Dreszcz mnie przeszedł. Ujrzałem nalepione na szafie, komódce, stoliku, białe papierowe pieczętki!.. Niewinny znaczek! hm!.. Tekla wręczyła mi zostawiony przez komornika protokół. Uspokoilem żonę, jak umiałem, sam nie wierząc w to co, mówiłem. Bo i skąd w tem położeniu mogłem wyciągnąć sto rubli?.. A na tyle opiewał wyrok... bo... bo... taki był układ z wierzycielem. Przy ostatniej racie miał mi zwrócić weksel. Szelma!.. Prosiłem go przecie! Na nic. Odstąpił swoje prawa drugiemu...

...Zacząłem znów pracować nocą. Nic dało się... malce piszczał, a żona przy blasku lampy zasnąć nie mogła. Tymczasem zbliżał się termin licytacji. Pamiętam jak dziś..

Wydobyl z kieszeni notatnik, przepatrzył parę zapisanych kar-

tek, a widząc, że słucham z zaciekawieniem, klepnął mnie w kolano.

...Opowiem ci z wszelkimi szczegółami, bo mam wszystko zapisane. Było to w drugiej połowie grudnia, kiedy to jakitaki o g w i a z d e c e myśli, a stróże bywają nad wyraz ugrzecznieni. Wychodzę rano do bióra, nasz Antoni, nie kiwnąwszy głową, zastępuje mi w bramie i rzece:

— A jutro to trza z domu nie wychodzić.

— Dlaczego?

— Niby to pan nie wie... Przedwczoraj przychodził woźny. Zresztą niech pan czyta.

Ukazał styliskiem miotły przylepione w bramie zawiadomienie, odwrócił się plecami i odszedł...

— Cóż ci powiem? Jutro miano sprzedać jedyne moje ruchomości. Przed oczyma stanęła mi chora Zosia... dziecko.

Tu Karol zachłysnął się nieco. Zgasł uśmiech w jego oczach, na-

tomiał coś, jak lza, zaświeciło pod powieką.

— Powlokłem się do bióra, jak struty. Chciałem prosić naczelnika o nową zaliczkę, ale właśnie wyjechał do swego majątku, na wieś, na polowanie. Zawołany myśliwy! Ma, panie, charty po pięćset rubli sztuka... Nie było rady! Jeden z kolegów pożyczył mi dziesięć rubli.

— Wróciłem do domu — mówił Karol dalej — złamany, nie śmiejąc Zosi w oczy spojrzeć. Chciałem ją powoli przygotować, lecz słowa więzły mi w gardle. W dodatku Tekla, sprzedawszy trochę ubieranych kości, upiła się bestya! Staszek wrzeszczał bezustanku. Tej nocy nie zmrúżyłem oka. Zosia nie spała również. Domyślała się czegoś, bo czasem, gdy niechęący westchnąłem, zwracała na mnie smętne spojrzenie. Parę razy szepnęła: „Mój Karolku! mój Karolku!” a wreszcie... było to nad samem ranem, usiadłszy na pościeli, przemówiła przez łzy:

Wargi Karola zaczęły drzeć, chlupnął parę razy, a potem dokończył.

— „Mój Karolku!.. ja ci jestem kulą u nogi... Ja wiem... Gdybyś się był z inną ożenił...“ Uważasz? Jak mi to powiedziała, buchnąłem na kolana i w bek! Gadaj co chcesz, na takie słowa tylko prawdziwie kochająca kobieta zdobyć się może... Popłakaliśmy się... Świtało... Opowiedziałem żonie o wszystkim, nie nie utaiwszy. Nie narzekala, nie użalała się półsłówkiem nawet. Pocałowała mnie tylko, gogączkowo powtarzając: „Wola Boża! wola Boża! wynajmiemy tymczasem jakiś umeblowany pokoik...“ Wola Boża!.. rozumiesz?.. jak ona to mówiła.. tego.. Poczciwości! Tekla, już wytrzeźwiona, podsluchawszy, kłęła od... parchów!..

— No i cóż się stało? — spytałem teraz zaciekawiony. zapominając o własnych kłopotach.

Wypił resztę kawy. Zapalił papierosa.

— A widzisz, bratku, żeś cieka-

wy—zaczął po chwili. — Otóż... byliśmy zdecydowani na wszystko... Poznosiłem trochę niezajętych drobiazgów do nędzy, opróżniłem szafę i komodę... Czekamy...

Zaśmiał się.

...Herbata nie smakowała mi wcale. Usiadłem przy oknie... wyglądam na dziedziniec. Około dziewiątej zjawia się banda żydów. Widzę: rozkładają rękami, szwargocą, a oczyma strzelają w górę ku naszemu oknom. Kruki! Niech ich! Nie mogłem patrzeć bez gniewu, a coś mnie dziwnie ciągnęło. Radzą... radzą... lypią oczyma... głaszczą brody a radzą... Po chwili usłyszałem stukanie do drzwi. Tekla burknęła: „kto tam?“, a ja pobiegłem do Zosi, sądząc, że już... „Mi“ — słyhać za drzwiami. „Puść, Teklo“ — powiadam. Wyobraź sobie, wchodzi dwóch brodaczy; jeden w krótkim futerku, drugi najzwyczajniejszy chałaciarz. „Czego panowie chcecie?“ — pytam. Klaniają się nisko, obrzucając przenikliwym wejrzaniem

wnętrze pokoiku. Tekla brała się do miotły.

Załatwił ręce.

...Ponowiłem pytanie. „Mi do pana dobrodzieja z interesem“ — zaczął ten w futerku.—„Pan dobrodziej ma kłopot, mi chcielibyśmy pomódz“—dorzucił drugi, nie spuszczać oka z kanapy i dwóch wyścielanych fotelików.

Szwargnęli coś do siebie.

„Mówcie, proszę“.

— Napijemy się jeszcze kawy?

Nie czekając odpowiedzi, kazał podać trzecie filiżanki. Dobry chłop.

— Zaczęli ogromnie ubolewać nad moim losem, oburzać się na niehumanizm wierzyciela— opowiadał Karol w dalszym ciągu, ja słuchałem.—Uważasz, ubolewali galgany! altruści! . a przyszli na licytację... Miałem wielką ochotę wyrzucić ich za drzwi, zwłaszcza, że żona zbladła jak ściana. a Staszek zaczął kwilić; ale się powstrzymałem. Wziąłem, jak to mówią, na cierpliwość. W takim położeniu... rozumiesz? Po chwili zrozumiałem,

po pierwsze: że przyszedli własnonownie sprawdzić wartość zajętych rzeczy; powtóre: zaproponować jakąś transakcję. Jakoż nie omyliłem się, gdyż, właśnie ten w futerku, jak się następnie dowiedziałem, pan Izrael Feinbiling, nachyliwszy się, zaczął, zniżając głos:

— „Mi bardzo żalujemy, że klamki zapadło. Jeszcze wczoraj można było co innego zrobić. Na drugi raz (bodajęś trzasł z takim życzeniem!), na drugi raz niech pan dobrodziej wpadnie do mnie na Solną, to ja już dam sposób... Ale teraz, to ja nie widzę innej rady, jak tylko „za drogo!“

— A soj! „za drogo?“ — dorzucił towarzysz.

— Wzruszyłem ramionami, nie rozumiejąc. I ty pewnie nie rozumiesz?

Potrząsnąłem głową. Karol roześmiał się na całe gardło. Złoty humor ma ten człowiek.

— Spojrzeli po sobie. Moja nieświadomość zdziwiła ich widocz-

docznie. Feinbilling nie przestawał kręcić głową.

— Pan dobrodziej może miśli, co to żarty? Mi jesteśmy uczciwe ludzie. Mi nie chcemy niczyjej krzywdy — przemówił, postępując krok naprzód.

— Po co ma bić licytacye? — bałknął chałaciarz.

— Ależ, moi panowie... — zacząłem.

— Still! still! — burknął Feinbilling — odciągając towarzysza — ja panu dobrodziejowi powiem, co licytacyi nie będzie.

— Jakto? — spytałem z niedowierzaniem.

— Schion! schion! Jak Feinbilling mówi, że nie będzie, to fertig. Zrobi się „za drogo“. Pan nie rozumie, co to jest „za drogo?“. To krótki interes. Jak przyjdzie komornik, to mi powieny, że taksacya za wysoka, nikt nie będzie licytował. Komornik będzie musiał zrobić drugie oszacowanie... naznaczyć nowy termin... upłynie najmniej dwa

tygodnie czasu... Rozumie pan dobrodziej teraz?

— Zrozumiałem. Sądzę, że i ty pojąłeś.

Skinałem głową.

— W pierwszej chwili ogarnęła mną niepohamowana radość. Omalonie wyściskałem Feinbilliga. Spojrzałem na żonę. Siedziała skulona w najciemniejszym kąciku nyży. Porozumieliśmy się spojrzeniem. W oczach Zochy wyczytałem również radość wielką. Widziałem, że żal jej było mebli. Te graciki, to przecież nieme świadki naszej miłości. Postanowiłem skorzystać z oferty. Pytam tedy:

— A cóż panowie chcecie za swą fatygę?

Nie odpowiedzieli odrazu, namyślali się. Potem zaczęli między sobą szwargotać. Wreszcie Feinbillig rzekł w tonie pytania:

— Da pan dobrodziej piętnaście rubelki?

— Za cóż? Bójcie się Boga!

— Jakto za co? Za to, co my tu przyszli! — wykrzykują obaj razem.

— Nie mam.

— To mi na to nie poradzimy —
brzmiała odpowiedź.

— Zabierali się do wyjścia. Targ
targiem, zgodziłem się dać dziesięć
rubli, jedyne, jakie miałem przy du-
szy. Po długich ceregielach przy-
stali wreszcie. Zrodziła się teraz
kwestya zaufania. Ja chciałem dać
z dołu, gdy licytacya upadnie, oni
żądali z góry. Feinbillig gorszył się
grubo brakiem ufności.

— Co pan sobie miśli?— Mi jeste-
śmy bidne, ale uczciwe ludzie. Mi
z tego żyjemy. Tu nie będzie żadne
oszustwo.

— Cóż miałem robić? Komornik
mógł przyjść lada chwila. Wypła-
ciłem. Wiesz? jednakowoż żydzi, to
bardzo solidny naród!

Zapalił świeżego papierosa. Ja
gruntowałem w pamięci nazwisko
dobroczyнного Feinbilliga.

— Akt prawny rozpoczął się nie-
bawem. Z komornikiem wtoczyło
się kilkunasu żydów. Między nimi
obaj moi znajomi. Drżałem z obawy.
Biedna Zochna, nie wychodząc

z nyży, płakała. Tekla Przypisek
stała we drzwiach w groźnej po-
stawie, gotowa niejako rzucić się
z pięściami na przybyszów. Wy-
obraż sobie, co za rzetelny szczep
ci żydzi. Rozpoczęła się licytacya.

— Kozetka sześć rubli! (kupiłem
ją z drugiej ręki, od jakiejś wdowy,
wyprzedającej meble, z powodu
śmierci męża, za trzydzieści rubli).
Licytanci obmacali wyściełanie, po-
kręcili głowami.

— Za drogo! — wykrzyknęli chó-
rem.

— Szafa do rzeczy. Pięć rubli!

— Nowiuteńka, politurowana na
orzech.

— Za drogo!

— Garnitur mebli, ośm rubli!

— Za drogo! I tak dalej.

... Odetchnąłem. Co najzabaw-
niejsza, że pocziwa Tekla o mało
nie zrobiła awantury. Nie rozumie-
jąc, o co chodzi, czuła się obrażoną
za dyshonor, jaki nasze meble spo-
tykał. Po pierwszym „za drogo“
przyskoczyła do Feinbilliga i wrza-
snęła:

— Co wy sobie żydy myślicie. To za tę kanapę sześć rubli za drogo? Niechrzceńcy! Wyłzygrosze! Pijawki!

— Komornik śmiał się do rozpuku. Z trudnością ją uspokoiłem. Pocziwości babsko... szkoda, że pijaczka. Pocziwości! I Stacha lubiła bardzo! Postawiliśmy jej nad mogiłą krzyżyk żelazny z napisem: „Tekla Przypisek, panna“.

Znów zaczął się śmiać i klepać dłonią po mojem kolanie.

— Wiesz, bracie, w jakich to bywało się opałach! Dobrzy ludzie pomogli, wykaraskałem się jakoś.

— Ostatecznie, musiałeś dług spłacić? — spytałem.

— Rozumie się, gdyż za dwa tygodnie miałem nową licytację i nowe „za drogo“. Potem jeszcze raz, i jeszcze raz. Ale to „za drogo“ kosztowało mnie istotnie za drogo.

Spojrzał w notatnik.

— Patrz, oto szczegółowy rachunek. Żeniąc się, pożyczyłem sto rubli. Wypłaciłem ratami pięćszesnastu wierzycielowi siedemdziesiąt

pięć rubli. „Za drogo“ razy pięć pięćdziesiąt rubli. Nowy wierzyciel (weksel był sedowany, jak mówiłem) wydusił ostatecznie całe sto. Koszta sądowe i komornik dwadzieścia pięć. Ogółem dwieście rubelków w ciągu niespełna roku. Radzę ci, daj rubla stróżowi, żeby ci po dawnemu się kłaniał, a sam grzmij do Feinbilliga, dam ci jego adres—dokończył.

Trząśł się od śmiechu.

Skrzywiłem się mimowoli. Żart wydał mi się niesmacznym.

Zauważył to i ujawszy mnie za rękę, zaczął ścisnąć. Śmiał się przytem. On się zawsze śmieje... Po chwil zmienionym tonem przemówił:

— Mój drogi! żart na stronę. Radbym ci dopomódz, ale sam nie wiem jak... Kapitałów nie mamy.. zresztą kasę trzyma Zocha. Jakoś to lepiej... Niewiasty do knajpy nie chodzą, a człowiek czasem... ot... tego... Wiesz co?.. mam myśl. Tylko się nie obraż! Zocha chciałaby z naszego Staszka zrobić Bóg wie co...

Masz czas?... Tylko się nie obraż...
W szkołach, widzisz... nie tego... ja
czasu wiele nie mam... Ty jesteś
kawałek literata... Możebyś Stacha
uczył tego... po polsku... niby poe-
tów... życiorysy i inne kawałki..
Chłopak zdolny. Moja pani uskla-
dała na ten cel trochę monety...
Możnaby weksel zapłacić... Tylko
się nie obrażaj... i... i nie licz za
lekeye... za drogo... No, jakże?

.....
Rzuciłem się mu na szyję.

.....
Staszek uczy się dobrze, pilny
jest, pojętny, pamięć ma lokalną.
Wczoraj popisywał się przed ro-
dzicami. Deklamował:

»Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, niezli są ludzie.»

Ja wtórowałem mu w duchu.

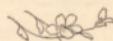
Karol śmiał stę przez łzy. On za-
wsze się śmieje. Walny chłop! Pa-
ni Karolowa patrzyła na nas swe-
mi dobrymi oczyma. Świeciły szcze-

ściem. Kiedym wychodził—spytała
z nieśmiałością:

-- Jakże tam pan ze swemi kło-
potami?

W miejsce odpowiedzi ucałowa-
łem jej ręce.

Chciałbym mieć taką „kulę u nogi“.



III.

„Podbijacz“.



Szedłem ulicą Miodową. Przed sądem okręgowym stała ciżba gawiedzi, przeważnie żydów. Przybywało ich co chwila, zlatywali się jak trutnie do ulów. Huczało też jak w ulu. Szwargot odbijał się echem o podbramne sklepienie, słyhać go było wokół. Kręcili się przytem, jak muchy lane ukropem.

Przystanąłem i ja w pobliżu na gapia.

Mam bardzo (w niektórych wypadkach) niewygodny wygląd. Dzie sięć lat siedzę na bruku, a z gęby...

wyrznięj dyable!.. wieśniak, ziemianin, obywatel ziemski... jakto w Warszawie mówią: wełna! Nieraz... idę „Teatralnym“... ni stąd ni zowąd, rusza z pod Stępka dryndziarz.

— Jaśnie dziedzicu, jadziem? — wykrzykuje, zdejmując czapkę.

Robię dobrą minę, macham ręką.

— Nie potrzeba! — ale w duchu jakoś mi markotno. Dyabli nadali.

Stałem tedy przed „Okręgowym“ i patrzę. Bezwiednie zbliżyłem się do odrutowanych czarnych ram, po za którymi wywieszane bywają ogłoszenia sądowe.

Obecność moja zwróciła uwagę kręcących się żydków. Zaszwargotali do siebie i zaczęli mnie mierzyć badawczem okiem od stóp do głów.

Udałem się im widać, gdyż po chwili przybliżył się do mnie mały, ruchliwy, rudowłosy żydek, z twarzą pełną piegów, jak gwiazdziste niebo, i kłaniając się wdzięcznie jedwabną kępi—spytał:

— Pan dobrodziej ma tu (wskazał na gmach sądowy) jaki interes?

Nie potrzebowałem udawać zdziwienia, mimo to jednak natręt, przestępując z nogi na nogę, nie przestawał dopytywać się w dalszym ciągu:

— Wielmożny pan potrzebuje może co kupić? Dziś właśnie licytacja. Jest kilka ładnych nieruchomości. Można tanio kupić. Ja wiem, teraz dużo obywatele ziemski kupuje domy w Warszawie.

Uśmiechnął się z niejaką poufałością, sądząc, że trafił w sedno.

W podsłuchanej o parę kroków rzeszy rozległ się szmer przyciszonych głosów.

— Purez! Er will kaufen! Siehste!

Mam pewną skłonność do izraelskiego plemienia. Lubię ich czasem wyciągnąć na gawędę. Ludzie miewają różne gusta.

Mój rudy żydek był widocznie faktorem. Zachciało mi się mistyfikacyi. Nastroiłem twarz odpowiednio i mówię:

— A skąd pan wiesz o tem? Istotnie... gdyby się coś trafiło...

To wystarczyło. Klasnął w ręce i zaczął skakać koło mnie, jak piłka, mrugając z pod oka.

— Skąd ja wiem? My wszystko wiemy. Ja pana dobrodzieja już dawno uważam...

— No, no!.. Tylko, że ja nie lubię pośrednictwa osób trzecich...

— Poco pośrednictwo? — wykrzyknął, odskakując. — Tu się zrobi interes w cztery oczy!

I zaczął syczącym głosem wołać:

— Mordke-Majer! Mordke - Majer, kimm! komm! geschwind!

Pociągnąłem go za rękaw, powstrzymując w zapale.

— Mówiłem, że nie lubię pośrednictwa, a pan wołasz...

Ruchliwe, małe oczki faktora stanęły na chwilę słupem. Cofnął się, jakby przerażony czemś zupełnie dlań niepojętem.

— Pan wołasz kogoś — dodałem z dobrze udaną niechęcią.

Młasnął, skrzywił się ironicznie i kręcąc głową, jak porcelanowy

chińczyk w sklepach z herbatą wycedził przez zęby:

— Kogo ja wołam? Ja nikogo nie wołam. Ja wołam Mordkę-Majer.

Dwa te wyrazy zlewały się w ustach faktora w jedną nierozdzielną całość.

— Któż jest ten Mordka-Majer? — spytałem, bawiąc się w duchu.

Jeszcze szybciej pokręcił głową, tak, że na jego cienkiej, otoczonej stojącym kołnierzykiem szyi, wystąpiły sploty żył. Teraz już bez ceremonii zaczął się śmiać.

— Kto jest Mordka-Majer? Pan nie zna Mordke-Majer?

— Kapitalista? — przerwałem. — Być może, iż będę potrzebował kilku tysięcy rubli.

— I to może być. Ale on nie jest kapitalista. On jest... on jest... główna osoba! cały licytant! P o d b i - j a c z ! — wygłosił z entuzjazmem.

Z kolei ja zrobiłem wielkie oczy. Istotnie pierwszy raz słyszałem o podobnej godności. Faktor wy-

krzykiwał w dalszym ciągu, a głos jego brzmiał politowaniem:

— Pan nie zna Mordke - Majer? Cała Warszawa zna Mordke - Majer. To nie może być, żeby pan nie znał Mordke-Majer.

Wydałoby mu się zrozumiałszym, gdybym nie wiedział, kto jest Kopernik, lub Mickiewicz.

Zacząłem się tłumaczyć.

— Istotnie nie znam... nie rozumiem. Któż to taki? Czem się zajmuje?

— Ja panu powiem krótko. Wszyscy go znają. Bez niego nie może być sprzedaż, ani kupno, nie będzie licytacji. On to wszystko trzyma tu.

Ukazał garść piegowatą.

— Zatem?

— Niech pan dobrodziej powie ostatecznie. Chce pan dobrodziej zrobić interes? który?

Zaczął wyliczać wystawione na sprzedaż nieruchomości.

— Na Zielnej, numer hipoteczny... Na Grzybowie, numer hipotecz-

ny... W Alejach, numer hipoteczny...

Mówił z pamięci, wymieniając cyfrę długów i okoliczności, towarzyszące sprzedaży:

W drodze działów... na żądanie wierzycieli... zapisane do masy upadłości...

Słuchałem z powagą, w duchu krztusząc się od śmiechu.

Faktor radził.

— Pan dobrodziej wybierze jedną... Zrobi się układ z Mordke-Majer i fertig!

Namyślałem się niby.

Pogroził.

— Inaczej będzie psuć...

— Jakto? — pytam dobrodusznie.

— Będzie pędził... zrobi szrubę... i pan dobrodziej będzie musiał kupić bardzo drogo. Po co? — wykladał z ożywieniem, namawiając tonem przyjacielskiej rady. — Nie lepiej dać parę tysięcy odstępnę i mieć spokojną głowę...

— A któż mi zaręczy?

— Ja! — uderzył się w wykrochmalony gors. — Ja!

— Mogą inni licytować. Jest ich tyłu...

— Jak Mordke - Majer powie, że nie, żaden z naszych słowo nie piśnie... Chejrym! Jak układ, to układ! Słowo, to słowo! Pan dobrodziej potrzebuje złożyć odstępnę w trzeciej ręce...

— Ależ, to zmowa ze szkodą osób trzecich — przerwałem.

— Jaka zmowa? Co pan dobrodziej wygaduje? To jest interes. Mi to znamy... Zresztą nikt nie potrzebuje wiedzieć — odpowiedział szeptem.

Pozornie przekonany, zacząłem się nibyto układać.

Faktor zaczął się wypytywać, czy mam co upatrzonęgo. Rzuciłem okiem na listę wystawionych na sprzedaż nieruchomości, wymieniając umyślnie taką, której termin licytacji wyznaczono na dzień jutrzejszy.

Z ust fatora posypał się teraz istny grad zachwał. Mlaskał.

— To cacko, nie dom! Trzy piętra... dwie oficyny... wodociąg... ka-

nalizacya... sklepy trzy... sutereny... Aj! aj! Bardzo dobrze... bardzo dobrze... Pan dobrodziej zrobi układ z Mordke-Majer... A jutro, da Pan Bóg doczekać... Schion! schion!

Zataił ręce, wymienił przypuszczalną sumę, za jaką posesyę kupić można, przemówił się o honorarium za fatygę dla siebie, które przyrzekłem wypłacić przy kupnie, poczem zawołał pełnym radości głosem:

— Mordke-Majer! Panie Majer!

Chciał kuć żelazo na gorąco. Nie oponowałem.

Zbliżył się tęgi, otyły mężczyzna. Ubrany elegancko, z pozorami wykwintności. Palce w pierścieniach, złoty, gruby łańcuch u kamizelki, na haczykowatym nosie binokle również w złotej oprawie.

Faktor zaszwargotał. Mordka Majer wyciągnął rękę na powitanie. Chciałem przemówić, aby grać w dalszym ciągu przybraną rolę, ale przerwał mi z powagą.

— Ja już wiem.—Spojrzał na zegarek.—Teraz nie mam czasu. Pan

dobrodziej pozwoli później. Te kamienice idzie dopiero jutro... A tu już zaczyna... (Wskazał gmach sądowy). Mnie pilno. Po licytacji będę na pana dobrodziejstwa czekał w cukierni. Zgodzimy się! zgodzimy! — dokończył zachęcająco, wyciągając na pożegnanie rękę.

— To i ja może zajdę na licytację... popatrzę. Nigdy nie byłem.

— Jak pan chce—odrzekł z ukłonem, oddalając się.

— Jest co widzieć. Niech pan dobrodziej pozwoli—wtrącił usłużny faktor.

Ruszyliśmy ku kancelaryom rejentów. Ruchliwy żydek nie odstępował mnie krokiem. Pilnował, bym przypadkiem nie wpadł drugiemu w ręce. W drodze wychwalał spryt Mordki-Majera.

Mnie tkwiło w głowie „pędzenie”—więc spytałem:

— No, dobrze! Ale, jak się Mordke-Majer przypadkiem zapędzi i trzeba będzie płacić wyżej wartości, to co?

Faktor po namyśle odrzekł:

— To się bardzo rzadko trafia. Na wipadek jest sposób. Mordke-Majer ma swoich ludzi. Jest zdanie, że ktoś uparty nie chce się zgodzić, licytuje od siebie... i Mordke-Majer licytuje... Idą w górę. Mordke pcha... tamten ustaje... Jeden odszedł... drugi... Mordke mrugnie... wychodzi inny żydek i daje więcej... Kupił!

— No, to musi zapłacić.

— Kiedy on nic nie ma—zaśmiał się faktor. — To taki słomiany licytant. Nie płaci. Posiedzi za ten szpas trochę w kozie. Potem się znajdzie jaka nieformalność. Robią drugą licytację, w tydzień, w dwa. A wtedy ten, co chciał naprawdę kupić, sam szuka Mordke-Majer. Bez niego nie poradzi.

Weszliśmy do sądu. Licytacje już się odbywały. Jedna, druga, trzecia. Sprzedaż szła gładko, nikt nie bruździł. Mordke - Majer stał przed kratkami, za nim szereg podkomendnych.

— To wszystko ułożone. Mają układ—szepnął faktor.

Przy czwartej trącił mnie zlekka.

— Teraz będzie bal... Nie chcieli z Mordką-Majerem gadać. On ich nauczy.

Między żydkami zrobił się ruch. Sprzedawano w drodze działów. Nie szło o uzyskanie najwyższego szacunku, lecz o ustanowienie jednego właściciela. Ten spłacał innych spadkobierców polubownie.

Mordka - Majer pędził, uśmiechał się złośliwie. Wyszrubował do kapitalnej sumy i puścił, mówiąc do otoczenia:

— To ich będzie kosztowało. Niech inni wiedzą.

Po dwóch sprzedażach „ulożonych“ zapanowało znów ożywienie.

— A teraz będzie „symulacje“—informował nieodstępny faktor. — Właściciel chce mieć czystą hypotekę. Niedawno kupił. Miał dług... musiał kupić. Teraz chce zrobić na żonę. Trochę długów spadnie. Same drobne. To główka! Pan go może zna? Magenfish. On ma układ z Mordke-Majer.

Przed kratkami stała wdowa z trojgiem dzieci. Miała sumę na piątym numerze, majster murarski, któremu poprzedni właściciel za-
hypotekował należność na szarym koncu, oraz jakiś trzęsący się emeryt, również wierzyciel.

— To wszystko drobne... spadnie tanim kosztem. Mordke-Majer wziął za tę sztukę tylko dwa tysiące.

Rozpoczęła się licytacja od niższego szacunku. Licytowała pani Magenfischowa i dwóch żydków dla formy. Dorzucali po rublu. Magenfischowa postąpiła odrazu dzie-
sięć.

Rozległ się suchy głos woźnego:

— Po raz pierwszy...

— Po drugi...

Nikt się nie odzywał.

Hypoteka była czysta...

Usłyszałem płacz... lkanie... i gardłowy śmiech Mordki-Majera.

Więcej nie pamiętam. Wybiegłem.

.

Na dziedzińcu sądowym dogonił mnie zadyszany faktor.

— Gdzie pan leci? Jeszcze czas! Jeszcze będzie jedna taka sztuka!

— Idź precz, łajdaku! — krzykałem, nie hamując dłużej oburzenia.

Spojrzał z rozczarowaniem i gniewem. Skupił myśli.

Ja, sapiąc, powtórzyłem:

— Łajdaki! Pijawki!

Właśnie przechodziło dwóch żydów.

— Panie Wurstuadel! panie Moryc — syknął mój faktor. — Mam z panów świadek, że ten... pan zrobił mi obrazę honoru.

Dotąd sprawy nie było.



IV.

Pierzynkowy interes.



Nazywał się Marek Skowerski, mieszkał na Podwalu, był szewcem. Majster dobry a niedrogi, dawał robotę staranną, materyał nie zleżały — nie fuszerował. Kupowałem u niego obuwie pięć lat z rzędu. Dziś siedzi w więzieniu.

Smutna historia tego człowieka. Byłem jej świadkiem. Opowiem.

Zaproszono mnie na zabawę tańczącą. Potrzebowałem lakierków; wybrałem się do Marka.

Mróz był dość silny po odwilży. Na oślizgłych brukach padały drożkarskie konie; służba tramwa-

jowa wysypywała piaskiem przestrzeń pomiędzy relsami. Słupy ogłoszeniowe, oblepione barwnymi afiszami o balach i maskaradach, daremnie wyczekiwały na czytelników. Jaki taki zmykał, zacierając ręce. I ja pośpieszałem, zwłaszcza, że była już godzina pierwsza, a jadając obiady gospodarskie na „świeżem maśle“, musiałem być punktualnym. Po drugiej dawano ochłapy.

Wehódząc do kamienicy, w której mieścił się warsztat Skowerskiego, usłyszałem lament i zawołanie. Płacz i krzyk wybiegał przez rozbite szyby jednego z parterowych mieszkań, tego właściciela, które zajmował znajomy mi majster.

Na podwórzu stróż z filozoficznym spokojem zmiatał śmiecie. Po oszronionym asfalcie walały się kawałki skór, skrawki starego rzeźwienia, żdźbła słomy, trochę trzasek i pierza, podobnego do świeżo spadłych płatków śniegu.

W niskich drzwiach, wiodących do suterenu, stały dwie otyłe jeźmienie, jak się później dowiedziałem, właścicielka magli, pani Agata Skowronek, i Franciszka Wąsik, praczka; przyjaciółki wielkie, popierające się wzajemnie.

Rozmawiały zawzięcie, ze zwykłą u ludzi gadatliwych żywą gestykulacją.

Obnażone do ramion, krwiste ręce, to opadały z łoskotem na krochmalne spódnice, to podnosiły się w górę, przeświecając w jasnym grudniowym słońcu między palcami i w stawach.

Wzdychały, powtarzając co chwila:

— Moja pani!

— Moja pani!

— Ja zawsze przepowiadałam, że się to źle skończy. Majster był dobry, nie można ganić, ale od czasu, jak się z żydami wdał... na nie! — ubolewała pani Agata, spoglądając w rozbite okna. — Któryż to katolik z żydami poradzi.

— Dawali niby surowy materiał na kredyt. Chłop robił dzień i noc przy warsztacie... i nieustraszył. Co z tego? Wziął za obstalunek, albo sprzedał „gotowe“ na Ordynacją... przyszły przechery i co do grosza wyciągnęły, niby na spłatę. — Potakiwała praczka.

— Robił, robił, a bywało niema za co choć kawałek golonki kupić. Nie wymawiając, ileż to razy Skowerska do mnie... po kilka kopiejek... Oddać, rzetelnie oddała, ale zawsze... Moja pani!

— Święta prawda! A teraz, to chyba na „proszone“ z dziećmi pójdzie. Jak myślicie! pani Agato?

— Pewnie, pewnie! Gdzie to tam samej niewieście! Pamiętam, co to ja wycierpiałam po śmierci nieboszczyka pierwszego męża, nim się drugi trafił! — westchnęła właścicielka magli.

I po chwili, przeznaczonej na to rozczulające wspomnienie — spytała:

— Czy go też puszcza? Jak pani Franciszkowa uważa?

— Woźny mówi, że nie, że musi siedzieć. Strasznie żydów poturbował.

— Taki spokojny człowiek!

— Żał go ścisnął! Jednemu to do ena głowę rozwalił.

— Widziałam, widziałam...

— Niech pani nie mówi głośno, bo jeszcze na świadki pociągną — przestrzegają ostrożna towarzyszka, oglądając się na mnie.

— Umilkły na chwilę.

Z tego, co usłyszałem, domyśliłem się, że mego majstra jakieś nieszczęście spotkać musiało. Wybite w mieszkaniu szyby były dowodem niedawno odbytej awantury.

Chcąc się utwierdzić w domysłach — pytam stróża:

— Czy pan Marek w domu? Nie wiecie?

Spojrzał obojętnie i nie przerywając sobie zajęcia — odpowiedział:

— Oho! Marek na Pawiaku! Nie widzi to pan, co porobił...

Wskazał miotłą na fruujące po podwórzu pierze.

— Pościel podarł, żydów pokrwawił. Wzięli go.

— Z jakiego powodu?

— A bo go za dług sprzedawali — wtrąciła się do rozmowy, podsłuchująca pani Agata.

Praczka pociągnęła ją za fartuch.

— Może to kto z sądu? — szepnęła na ucho, mierząc mnie wzrokiem.

Teraz i właścicielka magli przesyła mnie badawczym wejrzeniem i z niejakim wahaniem zagadnęła:

— Czy pan ma do Marków jakiś interes?

— Chciałem kamasze obstałować, ale właśnie słyszę, że...

— Nic z tego chyba nie będzie — przerwała, zaniepokojona widąc co do mojej osoby. — Już po Marku! A szkoda, człowiek był i majster rzetelny, ale go żydy sterały i do grzechu przywiodły.

Opowiedziała mi pokrótce przebieg awantury.

— Wszystkim wiadomo było, że szewców mają sprzedawać! Już od tygodnia włóczyły się żydy, a za-

glądały — mówiła, zaperzając się w miarę opowiadania. — Mówiłam Markowej: trzeba co radzić. Chciał pożyczyć w Kasie, ale akurat pieniędzy nie było, obiecywali na przyszły miesiąc... No i stało się. Zeszło się tego tałalaństwa dziś od rana huk... Cały dziedziniec zawalili... Zaczęła się licytacja... Z początku nic. Spojrzałam przez okno... Skowerski siedzi w kącie warsztatu na zydłu i tylko oczami łypie, Markowa w drugim kącie ręce łamie... dzieciśka popłakują... Czwo-ro mieli... Aż litość brała patrzeć! Mnie samej na płacz się zbierało... Żydy kupują a kupują... Mieli trochę gratów, warsztatową przynależność, naczynia... Obłowiły się handełesy... Szwargotało to-to aż uszy puchły. Nagle... zda nam się z Franciszkiem słyszeć krzyk straszny! Z okien posypały się szyby w drobne kawałki. Struchlałam.

Odsapnęła, oddychając ciężko.

— Żydy wylaływały pędem do sieni, wrzeszcząc, jak opętani. Dwóm, czy trzem krew ciekła z gę-

by! Sądny dzień, proszę pana! Zaraz polecieci po policję... Strach, co się tam działo!

— O cóż poszło? — zapytałem.

— O cóżby, jak nie o pościel — odrzekła z przekonaniem. — Marek dusił w sobie boleść, dusił... Licytowali po kolei: szafy, stolki, trochę odzienia. On nie...

— Siedział, jak z kamienia, jeno mu wargi pobielały — objaśniła na swoją rękę Franciszkowa.

— Dopiero przy pościeli... Czy to prawda, proszę pana, że pościeli niby nie wolno sprzedawać? — spytała pani Agata, zabrawszy głos nanowo.

— Właściwie wolno, położyć areszt na wszystkim można, ale sąd robi wyłączenie. Trzeba jednak zrobić podanie — wyjaśniłem — a nie będzie sprzedaży.

— To też!... Musiał Markowej kto powiedzieć, że niby prawo zabrania... Zaczynają od poduszek... Wezbrało w Markowej serce. Jak nie skoczy, jak nie zacznie w cały głos: „a szachraje! a dusicie!”

a pijawki! Nie zważa na urząd... zwyczajnie z wielkiej żalości. Dzieciska w bek. Szewcowa klnie, wydziera... potrafiła któregoś z żydów... Narobił gwałtu, inni za nim, bo u nich taki zwyczaj: tknąć jednego, cała hurma wrzask podnieście. Markowa wyrывa, oni nie dają... Urząd uspakaja... Gdzietam! Trzeba nieszcześnie, że pono jeden pełną babinę.

Odetchnęła. Praczka, korzystając z przerwy, dokończyła:

— Skowerskiego, jakby kto nożem zgnął. Widziałam... Posiniał, jak bielizna od farbki... Porwał się z zydlą, sunął między nich... Sądny dzień! Dwóch zaraz zmiotł pięścią, aż się pod ścianę potoczyli. A potem, rozum go odszedł, czy co? bo chwycił za poduszki, za pierzynki i darł, a krzyczał: „Ani mnie, ani wam, przechery! niechrzzone dusze!“ Żydzi musieli bronić, bo pono już parę sztuk kupili...

Urwała, mrugając znacząco na Agatę.

— Więcej nie widziałam.

— Ani ja — odpowiedziała, za przykładem przyjaciółki, pani Agata. — Niech pan zajdzie, to obaczy.

Domyśliłem się, że obawa świadczenia zamykała im usta.

Przysłuchujący się stróż wtrącił.

— Co-ta taić. Poturbował Marek żydów do krwi. Nie szkodziłoby to może, bo też go pieniacze z całego mienia wyssały. Jeno w tem poblądził, że urzędu nie uszanował... i świadki były.

— Więc go uwieziono?

— Do cyrkułu wzięli.

— A majstrowa?

— A no!

Wskazał na mieszkanie Skowerskich.

Lament nie ustawał. Łzawe wykrzykniki mieszały się ze skocznościami dźwiękami polki. Na pierwszym piętrze ktoś grał na fortepianie.

— Szkoda kobiety — zauważył stróż.

Gadatliwe jejmoście odeszły kilka kroków, rozprawiając w dalszym ciągu.

Słyszałem znowu:

— Moja pani!

— Moja pani!

— Na żebry pójdzie!

— Pod kościół.

— Bo, kto to tam takiej biedzie zaradzi?

— Strach pomyśleć... dzieci drobne...

— W stancyi na obwinięcie palca niema...

— Trzebaby może biedaczce choć co na obiad posłać... Pani Franciszkowa, jak pani uważa?

— Z ust mi pani wyjęła. Mam ładny kawałek wędzonki z brunkwią, to przygrzeję.

— U mnie z wczorajszego dnia zostały raczuchy.

— Właśnie!

— Moja pani!

— Moja pani!

Westchnęły, kiwnęły sobie głowami i rozeszły się do swoich mieszkań.

Postałem chwilkę. Zdjęła mnie litość, czy ciekawość. Może i to i to razem. Machinalnie sięgnąłem

po przygotowaną na lakieryki piątkę i wszedłem do warsztatu.

Serce mi się ścisnęło. Pustka. Na podłodze trochę śmieci, skorup, pierza, nogi od stołków, parę grudek węgla. Obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i patent majstrowski, zresztą gołe ściany.

Owionęła mnie woń stęchlizny i kurzu. Wbiegający przez wytłuczone szyby wiatr mroźny poruszał zwieszającą się u sufitu pajęczyną.

Spojrzałem.

W kącie pod piecem na niemałowanym krześle siedziała Markowa, obok niej, czepiając się fartucha, czworo dzieci,

Łkała, ocierając mokrą dłonią oczy. Dzieci pociągały noskami, szlochając.

Nie spostrzegła mnie w pierwszej chwili. Chrząknąłem, wyglądając stereotypowe pytanie:

— Czy tu mieszka majster Skowerski.

— Niema męża, niema! — wybuchnęła na razie, podbiegłszy

w nienaturalnych ruchach ku mnie.

Poznała jednak zaraz stałego kundmana. Chciała się uśmiechnąć, nie mogła. Struga świeżych łez popłynęły po znękanej twarzy. Załamała ręce. I mnie w oczach zrobiło się mokro.

— Pani Markowa! — zacząłem.— Wiem, wiem, słyszałem... nieszczęście! Niech pani nie desperuje, znajdą się okoliczności łagodzące...

— O panie! dobrodzieju! — zawołała, schylając się do kolan.

— Dajże pani pokój... do czego to podobne! — przemówiłem nieco zażenowany.

— Wzięli mi go, wzięli! O nieszczęśliwa godzino! Toć on nie nie winien! — wołała zrozpaczona kobieta. — Żydy go opętały i zgubiły! Nieraz ostrzegałam... Marku, nie wierz... bo się biedy napytasz! Dola-ż moja! dola!

Rzucała bezładnie słowami żalu i rozpacz. Uspokoila się nareszcie nieco i opowiadała spokojniej.

Czułem, że wynurzenie się ulgę jej przyniesie. Słuchałem — co tu w bawelnę obwijać! — nie bez wzruszenia.

— Cały dług, szanowny panie — mówiła, tuląc ciszącą się do jej boku dźwiągę—nie wiem czy dwadzieścia rubli naprawdę wynosił, bo mój co tydzień upłacał... przecie wiem najlepiej... jeno się łatwo-wierny biedak nie dopilnował. Był kiedyś winien za rzemień, jak buty „na Rosyę“ robił, a właściwie to i nie winien, bo ten sam Berek ze Świętojerskiej, co rzemienia zborgował, buty zabrał i niby na miejsce wyprawił, ale gdzieś na kolei przepaść miały. Grosza mój złamanego nie oglądał. Miała być wspólna strata: Berków rzemień, mego robota. Tak się ostatecznie ugodzili, tylko, że mój zapomniał odebrać rewersu... Dwa lata siedzieli cicho, a teraz... Jakżem miała dać, jakżem miała nie bronić! Zima idzie... przy tyłu dzieciach bez pościeli... Poskwirną robaki.

I znów zaczęła zawodzić.

Baba jestem; nie umiem nikogo pocieszać. Chciałbym—nie umiem; samemu mi się zaraz przykro robi. Wetknąłem biedaczce piątkę—mówiąc:

— Byłem waszemu winien za robotę.

I wyszedłem.

Nie dochodząc bramy, spotkałem panią Agatę. Niosła półmisek raczuchów. Z sutereny, gdzie mieściła się pralnia, rozchodził się smaczkowity zapach przygrzewanej wędzonki z brukwią.

Wracałem do domu nieswój. Przed kamienicą, w której mieściła się kancelarya jednego z adwokatów, ujrzałem gromadę żydów. Kilku z nich miało obwiązane chustkami głowy. Przyszło mi na myśl, że to może licytanci biednego Marka. Zbliżyłem się pod pretekstem zapalenia papierosa.

— Pozwoli kupiec ognia? — spytałem najbliższego.

— Niech pan pali—odrzekł, podając mi ośliniony kawałek cygara.

— Nad czem panowie tak radzą? Coś się widać stało? Bijatyka, czy co?—spytałem dalej, pokazując na przewiązane głowy.

— Rozbój, zwyczajny rozbój!

Udałem przestraszonego.

— Napadnięto kupeów w nocy? Złoczyńcy?

— Nie... tylko była licytacya z awanturą.

— Nie rozumiem...

— Szewc rozbójnik zrobił gwałt, czynną obelgę!.. Mi bili już u doktora po świadectwo, a teraz do adwokata. Trzeba raz takie gwałtowniki oduczyc rozbójstwa.

— Nie wiedziałem, że licytacya to taki niebezpieczny interes. Poczóż się panowie narażacie? Czy nie lepiej było wziąć się do czego innego?

— Po co? Czy to handlować nie wolno? czy to grzech? —wybuchnęli z oburzeniem. — Po co mi mamy ustępować?... Niech lepiej taki zbój posiedzi.

— Zresztą, to był pierzynko-

wy interes — dorzucił w formie objaśnienia jeden.

— Pierzynkowy? A cóż to ma do bójki?

— Pan się dziwi? Proszę pana, z pierzem to zawsze bywa feler. Pan nie zna prosty naród?... to same grubiany! Dla niego poduszka, pierzynka, to jak brylant! On się będzie bił, a nie da sprzedać...

— W takim razie bezpieczniej może nie kupować?...

— Kiedy zarobek dobry jest. Odważny lud.



V.

„Pamiętka“



Przeplakała noc całą; rano odwiozła matkę, niewidomą staruszkę, do znajomej emerytki, i wróciwszy do szczupłego mieszkanka, oczekiwała na to nowe nieszczęście, które po tylu innych przyjść miało.

Przedwcześnie podbrudzone oczy panny Jagłowskiej patrzyły smutnie na domowe szczątki, pozostałość z dawnych, lepszych czasów; myśl odbiegła wspomnieniem.

...Dworek wiejski. Lipy i brzozy przed domem; ogródek pełen kwiatów. Pamięta jak przez mgłę. Po między dwiema lipami huśtawka;

nieboszyk ojciec nieraz ją na niej bujał. Tak im dobrze było wtedy we troje! Potem przyszły nieszczęścia: najpierw choroba ojca i śmierć... a potem jeszcze grom bolesny uderzył... Matka straciła wzrok... Nie było komu zająć się gospodarstwem, przyszły lata ciężkie dla rolników. Opiekunowie radzili sprzedać Dąbrówkę. Matka opierała się. Tam był grób ojca... Aż nareszcie nie było rady. Wierzyście nacisnęli. I oto nadeszła bolesna chwila porzucenia rodzinnego gniazda. Dąbrówkę sprzedano przez licytację. Za ledwie na pokrycie długów wystarczyło. Miała wtedy lat siedemnaście... Wyjechały obiedwie z matką do Warszawy. Z całego majątku zostało tylko trochę mebelków. Trzeba było zarabiać na życie. Umiała nieźle po francusku, grała na fortepianie; mówiono, że gra bardzo pięknie. Jakże szczęśliwą była, kiedy pierwszy raz wracała z lekcyi z zarobionemi kilkunastoma rublami! Trzydzieści kopiejek za

godzinę. Miała pięć godzin dziennie: jedną u kupca na Lesznie; drugą u mieszkających na Wspólnej kapitalistów, trzecią aż na Maryensztadzie w domu pewnego fabrykanta, i jeszcze dwie na Pradze, u urzędnika kolejowego. Więcej dostać nie mogła, zresztą chodzenie zajmowało jej dużo, bardzo dużo czasu. Czasem wypadło się w tramwaj, żeby się nie spóźnić... Dziękowała Bogu i za to. Żyło się jakoś. Matka, przebolawszy poniesione straty, przywykła do skromnej izdebki na trzecim piętrze. Tylko te oczy, te biedne oczy! Nie dość, że nie patrzyła na świat Boży, ale i bolały niekiedy bardzo. Zamglone źrenice zachodziły krwią, powieki puchły. Może z mieszkania; w murach zawsze bywa wilgoć. Pewnego razu obudziła się staruszka ze strasznem strzykaniem w całym czole. Oczy zaogniły się krwawo. Nie chciała lekarza. „Koszt duży, dziecko...” — mówiła. Z trudnością namówiła matkę. Przybyły specjalista orzekł po-

trzebę operacji. Wzroku straconego nie wrócił, ale niejaką ulgę sprowadził. Staruszka nie cierpiała już więcej, tylko, że odtąd ogarnęła ją ciemność jeszcze czarniejsza. Dawniej, w dzień jasny, lub przy świetle lampy, rozpoznawała chociaż kształty, jak cień; wszędzie trafić mogła sama, w każdy kącik: i do biórka, i do szafki gdańskiej i do starego kurantowego zegara... Dotknęła dłonią wskazówek... wiedziała, która godzina... pociągnęła za zwieszający się z boku sznurczek zielony... zegar dzwonił lub wygrywał piękne melodye... polonezy, marsze i tę ulubioną przez nieboszczyka męża piosenkę: „Tam, na błoniu błyszczy kwiecie”.

A i Jadzię swoją widziała. A teraz? Ale nie żaliła się, bo pocóż biednej dziewczynie zakrwawiać serce?... Owszem, mówiła, że teraz znacznie jej lepiej... Poczciwa matucha!

I znowu płynęły dni e tygodnie, ale już nie tak spokojnie, jak przedtem. Na kurację zaciągnęła dług.

Zydówka, mieszkająca w tej samej kamienicy, nastęczyła jej jakiegoś starozakonnego kapitalistę... A najgorzej, że przez dwa tygodnie blisko nie mogła chodzić na lekcye... straciła nawet jedną... państwo ze Wspólnej zgodzili inną nauczycielkę... Miała teraz znacznie mniej pieniędzy, a tu dług trzeba było spłacać. Kapitalista, z początku grzeczny, przysyłał teraz grubiańskie listy, grożąc sądem. Z początku, od ust sobie odejmując, po każdym takim liście posyłała parę rubli. Sprzedała półjedwabną sukienkę i nowiuteńki żakiecik. Potem nie było już co sprzedawać... I oto jednego dnia odebrała wezwanie do sądu. Potem przyszedł komornik z wyrokiem i spisał rzeczy. Kapitalista sam szacował. Szczęściem, że matki nie było w domu. Jakby przecuciem wiedziona, zaprowadziła matkę do znajomej emerytki...

Oczy panny Jagłowskiej zaszły łzami.

Dziś właśnie miała się odbyć sprzedaż.

Westchnęła. I jej żal było drogocemnych pamiątek... tych palisandrowych mebelków, gdańskiej szafy, biórka... Ale najbardziej chodziło jej o matkę.

Do tej chwili tała przed staruszką, do ostatniej chwili szukając środków ratunku. Środków nie było. Zdecydowała się skłamać poeciwie.

— Mój ty Boże!—myślała z przeżeniem — matuchna nie widzi... wynajmę mebelki inne, a nie nie powiem... Byłem tylko zegar odkupić mogła.

Nie zwierzając się przed nikim, poprosiła znajomej emerytki o gościnę dla matki na dni parę.

— Chciałabym zrobić porządki, podłoga dawno nie myta—mówiła, pozorując swą prośbę.

Rano zaprowadziła matkę i oczekiwała z bijącym sercem.

Mimo głębokiego smutku i łez, co jak perełki spływały bez przerwy z napuchłych od płaczu powiek, była prawie spokojną.

Wszystko szło tak dobrze

Matuchna nie domyślała się niczego, stolarz z przeciwka zgodził się wypożyczyć mebelki, a zegar... Na zegar miała pięć rubli... Oszacowany na cztery... Odkupi...

Ciężkie chwile płynęły wolno. Panna Jagłowska z przyzwyczajenia zaczęła ścierać kurz z mebli. Robiła to codziennie, więc i teraz na pożegnanie...

Stary zegar wydzwonił dziesiątą.

Na schodach rozległo się człapanie i pogwar kilku głosów.

Zastukano do drzwi.

Panną Jagłowską dreszcz wstrząsnął. Nie wątpiła, co to mogą być za goście. Z determinacją otworzyła zatrząsk. Za drzwiami ujrzała kilka brodatych twarzy.

— Czy już?—spytał jeden, rzucając przenikliwe wejście przez uchylone drzwi.

— Still! — warknął drugi, uchylając cokolwiek załuszczonego cylindra. — Saj ruhig! Pani pozwoli... — zwrócił się do drżącego dziewczęcia. — Mi tu przyszli obej-

rzyć meble... Może się da zrobić jakiś układ. Niech pani pozwoli...

— Proszę — szepnęła, usuwając się z progu.

— Saj ruhig! — powtórzył raz jeszcze do towarzyszków i wszedł do pokoju.

Za nim wsunął się jeszcze drugi. Inni pozostali za drzwiami, szwargocząc hałaśliwie.

Panna Jagłowska, mimo olbrzymiego wysiłku, nie mogła zapanować nad rozlewającym się w pierśsiach żalem.

Przysłoniła oczy i wybuchnęła na cały głos.

— Czego tu płakać — zaczął „ten drugi“.

— Still! — skarcił „ten pierwszy!“ — Still Szaja! Ja panience co powiem... my jesteśmy dobrzy ludzie... Trudno, każdy zarobić potrzebuje... My kupimy te meble, ale możemy później panience odprzedać. Niech pani pozwoli tylko obejrzeć. Można? — spytał grzecznie.

I nie czekając na odpowiedź, zaczął po kolei oglądać wszystkie

sprzęty. Towarzysz również. Przystadali na kanapie, próbując wyścielania, zajrzeli do szafy, czy nie spaczona, pukali w fornir biórka.

Nie bronila. Przystanąła w milczeniu, starając się stłumić bezowocną boleść. Nadzieją odkupienia mebelków nie mogła się ludzi... Ucieszyła ją jednak zrobiona propozycja o tyle, że teraz była pewną, iż przynajmniej najdroższą pamiątkę, stary zegar uratuje.

Uczuła nawet pewną wdzięczność dla tych niespodziewanych gości, którzy ze skrupulatnością szczegółową dopełniali przeglądu wystawionych na sprzedaż rzeczy, szwargocząc półgłosem między sobą.

Właśnie przyszła kolej na zegar.

„Ten pierwszy“ spojrział do notatnika.

— A vier kerbel — bąknął.

„Ten drugi“ skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Czy un dobrze chodzi? — zapytał, zwracając się do panny Jagłowskiej.

— Dobrze — odpowiedziała szep-
tem.

Pociągnął za sznurek. Zadzwo-
niła piosenka.

Obaj mlasnęli.

— To bardzo stary zegar?— spy-
tał teraz „ten pierwszy.“

— Antyk.

— Antyk! a soj! — podchwycił
„ten drugi“.

— A ile on może być wart? —
rzucił od niechcenia.

— Nie wiem. To pamiątka.

— Was ist das pamiątka? — za-
gadnął towarzysz z zaciekawie-
niem.

— Co to, z przeproszeniem, zna-
czy „pamiątka?“ — zapytał, kłania-
jąc się układnie „ten pierwszy“.

— Pamiątka... ten zegar jest
w naszej rodzinie od bardzo da-
wna. Mój ojciec nieboszczyk... ma-
ma... bardzo... — tłumaczyła przez
cisnące się łzy.

— A soj! a soj! Ja już zrozumia-
łem. Państwo lubią ten zegar.

— O bardzo! — potwierdziło go-
rąco dziewczę. — Jedyńa rzecz,
którą chciałabym zatrzymać.

Zaszwargotali do siebie, wymie-
niając znaczące wejrzzenia.

— Still! Still! — uspakajał „ten
pierwszy“, potem biorąc zegar do
ręki i oglądając na wszystkie stro-
ny—mówił: — On musiał dużo ko-
sztować. Stara sztuka! ładna sztu-
ka. Ja panience co powiem. Mi
kupimy ten zegar... Panienska da
małe odstępne... Schon! schon! My
jesteśmy porządne ludzie. Drugie
ładaki chcieliby dużo, ale mi zga-
nimy, żeby przypadkiem nie ku-
pili. Niech ino panienska nie mówi,
że to p a m i a t k e. Po co wszyscy
mają wiedzieć?... Ale nam to niech
panienka powie, co on może war-
tać. Musimy wiedzieć, n a i l e z g a -
nić. Czy to srebrne?

Dotknął palcem cyferblatu, u-
śmiechając się chytrze.

— Srebrne.

— A silberne! — emoknął „ten
drugi“.

— Still! Więc ile?

— Nie wiem doprawdy.
— Dziesięć... dwanaście...
— Ojciec... przypominam sobie...
od samej reperacji zapłacił więcej—odrzekła po namyśle.

W oczach brodaczy zaświeciła niepołamowana radość.

— Schon! schon! — zawołali obaj naraz—niech panienka będzie spokojna! Schon! Już my zegar kupimy... Tylko szta!...

— Bardzo będę wdzięczna...

— Schon! schon!

.....
Zaczęła się licytacja.

Prowadzący licytację komornik nie bez wzruszenia wygłosił „po raz trzeci“. Błada twarz panny Jagłowskiej przemówiła nawet do obytego z ludzką niedolą serca wzruszeniem.

Parę razy zwracał się delikatnie z zapytaniem, karcąc kłócących się żydów, pocieszał siedzące w kąciku dziewczę.

Dziękowała nikłym uśmiechem, nie ruszając się z miejsca.

Sprzętów ubywało. Co chwila któryś z licytantów wynosił na schody tanio kupiony mebelek. Po-koik pustoszał. Na ogołoconych ścianach świeciły jaśniejsze plamy w miejscach, gdzie stały biórko i szafka.

Przyszła kolej na zegar.

— Zegar cztery ruble.

Licytanci obejrzeli towar.

— Starzyźnie! — mruknął „ten pierwszy“.

— Na szmela! — zawyrokował „ten drugi“.

Panna Jagłowska drgnęła. Ruch ten dostrzegli obaj i zaczęli mrugać porozumiewająco.

— Cztery ruble i kopiejek pięć — wyrwał się ktoś z tłumu.

— Schweig a Jojna! — syknął „ten pierwszy“.

— Cztery ruble kopiejek osiem.

— Cztery ruble kopiejek osiem — po raz pierwszy!“

— Dziewięć! — dorzucił „ten drugi“.

— Dziewięć — po raz pierwszy!

— Któryś z gorętszych podwyższył znowu o dwie kopiejki. „Ten pierwszy“ przyskoczył doń z gniewem.

— Schweig! a szware jur! Was willst du? Ich kañf! Was willst du! Zaczęli się chandryczyć.

— Po raz drugi!—intonował woźny, przewlekając.

— Kopiejek piętnaście! — wybuchnął „ten drugi“.

Teraz nikt już nie dawał więcej.

Rozległo się znowu:

— Po raz pierwszy!

— Po raz drugi!

— I... po raz trzeci!

Kurantowy zegar był kupiony.

„Ten pierwszy“ podbiegł do odretwiałej panny Jagłowskiej.

— My tu przyjdziemy... jak się to skończy... chejrym!—upewnił.

Licytacya miała już trwać niedługo.

Ostatnie krzesło kupił sam kapitalista. Potrzebował do garnituru dla zięcia.

Komornik skłonił się uszanowaniem i wyszedł.

.....

W godzinę potem zjawili się dwaj wspólnicy z zegarem w ręku.

— Ny! jesteście!—zaczęli u proga. — Ile panienka da odstępcę?

— Mam pięć rubli... z ochotą dam kupcom...

Zrobili wielkie oczy.

— Herste? pięć rubli? Czy panienka żartuje?... Za takie pamiątkie?

— Przecież panowie daliście tylko..

— Co mi dali, to mi dali... Co to ma jedno z drugim?

— Zegarmistrz na Podwalu dał nam już dwadzieścia rubli — objawił gniewnie „ten pierwszy“.

— Mi żądamy dwadzieścia pięć!—dorzucił natarczywie „ten drugi“.

Panna Jagłowska załamała ręce.

— Niech się pani namyśli przedko, bo niema czasu.

— Kiedy nie mam! — jęknęła.

— To po co bałanucić! — wybuchnęli wspólnicy.—Kim a Mojsie! Kim Szaja!

Wyszli zagniewani.

Na schodach, potracony o poręcz, zegar wydzwonił, jakby na pożegnanie:

«Tam, na bloniu błyszczą kwiecie».

I w pokoiku błyszczą, ale łzy.



VI.

W sąsiedztwie rabina.

Mieszkałem pod jednym dachem z rabinem, przez ścianę. A dom był nowoczesnego stylu z fryzami, z marmurowymi schodami, z mnóstwem gipsowych ozdób, malowideł i wyłazań — tylko ściany miał cienkie.

Słyszałem każde słowo, wyrzeczony u mego sąsiada, i nieraz bywałem mimowolnym świadkiem odbywanych konsultacji.

Nadmienić muszę pod sekretem, że czytam i mówię po żydowsku nieczorzej. Zasługa to już zacnych nauczycieli, których w życiu miałem niemało. Kosztowało mnie to

trochę, bo kosztowało, ale zato tego, co w głowie, ani ogień, ani woda mi nie zabierze. Przytaczam ten szczegół nawiasowo, sądząc, że atestatów przedstawiać niemam potrzeby. W ostateczności mógłbym i to uczynić.

Mam zwyczaj przechowywania drogocennych papierów i posiadam całą kolekcję wyegzekwowanych wyroków.

Wracam do rzeczy, to jest do mego duchownego przez ścianę sąsiada.

Mając własnych tajemnie bez liku (kochałem się osiemnaście razy z lichym skutkiem), cudzych ciekaw nie jestem, często też zły byłem poprostu, że mi się to i owo o uszy obijało.

Ale cóż poradzić na cienkość ścian? Prosiłem nawet sąsiada, aby się sprawował ciszej nieco i nie przyjmował tak hałaśliwych gości, ale jakoś nie pomogło.

Trudno! Wolność Tomku w swoim domku!

Rad nie rad, musiałem wysłuchać przeróżnych porad i wyroków.

Jeden z nich powtórzę w przekładzie.

Pewnego dnia, powróciwszy nad ranem do domu, chrapałem smacznie na kanapie, gdy nagle budzi mnie ze snu jakiś tumult. Słyszę... kilka skarżących się, płaczliwych głosów—wrzeszczy.

Głosy były mi trochę znajome. To mnie zaciekawiło. Zacząłem nasłuchiwać. Istotnie znajome. Przed tygodniem miałem małą licytacyjkę.

Słucham... ani chybi, moi licytanci: Szmul Wędzidło i Jasek Feinzün! Ciż sami! Odkupiłem od nich graty, płacąc podwójnie.

Wnoszą jakąś skargę jeden na drugiego. Krzyczą przeraźliwie powołując się na przyprowadzonych świadków. Istna bóżnica!

A bodaj was—myślę, przewracając się na drugi bok.

Gdzietam! hałas taki, że się ściany trzęsą. Umarły wstałby z grobu. Słucham tedy.

Szumł Wędzidło wnosi skargę na Joska o oszustwo. Mieli spółkę. Jeden poszedł na jedną licytację, drugi na drugą. Zysk miał być do podziału. Tymczasem licytacja, na którą był wydelegowany Wędzidło, nie przyszła do skutku, wierzyciel ugodził się z dłużnikiem. Jasek odmówił wypłaty połowy zysków z drugiej, która się przeciwnie najpomyślniej powiodła.

Obaj wrzeszczą jak opętani, wymyślając sobie od „ganefów“, „szwarcjurów“.

Ciekawa historia! Sąd Salomona!

Wygadali się widać wreszcie, bo zrobiło się ciszej. Słyszę — rabi mówi:

— Niech Joel opowie, jak to było.

Joel, to jeden ze świadków.

— Było tak a tak — odpowiada Joel.

— Un kłamic! — krzyczy Wędzidło.

— Un prawdę mówi! — krzyczy Feinzün.

— Niech powie Ryfka — słyszę znów rozkaz rabina.

Piskliwego zeznania Ryfki nie dosłyszałem dobrze, musiało ono jednak wypaść na niekorzyść Feinzüna, bo ten z kolei zawołał:

— To jest wielkie kłamstwo! To jest cała fałszywość!

Wędzidło zaś potakiwał gorąco:

— A soj! a soj! Sie hat recht! Tak właśnie było.

Znowu wszczął się harmider nie do opisania. „Ganef“ i „szwarcjur“ latały w powietrzu.

Bawiłem się wyśmienicie.

Nagle rozległo się jakby uderzenie czemś twardem o stół, potem zapanowała cisza.

Nadstawiłem uszu.

Przez dłuższy czas zalegała taka cisza, że słyszałem szelest atlasowych chałatów.

Wreszcie przemówił rabi.

Przyłgnałem do ściany.

Wyrok brzmiał:

— Co było, to było. Przeszło jak ptak o dużych skrzydłach, którego nikt nie dogoni. Ty, Szumł, byłeś

stratny, i ty, Jasek, miałeś mniejsze zyski. Chcecie trzymać spółkę?

— Chcemy—brzmiała odpowiedź klientów.

— To trzymajcie.

— A moja strata? moja połowa? — ośmielił się wtrącić Wędzidło.

— Still! Za te twoje połowe będziesz miał wynagrodzenie...]

— Ja nie chcę dać—odezwał się teraz Jasek.

— Still! Ty weźmiesz, a ty nie nie dasz. Trzymajcie spółkę, a z pierwszej licytacji cały zysk niech zabierze Szmul. On był stratny.

.....
Kto zatem zapłaci? — pytałem w duchu.

W parę dni potem spotkałem Szmula z Joskiem w najlepszej zgodzie. Nieśli w rękach tobołki z garderobą.



VII.

Na Wołówce.



Nasłuchiwała się „Myśl o jutrze” od Wspomnicu i Pamięci różnych dziwów o Warszawie, a że jej czegoś smutno było w skolatanej czaszce ludzkiej i załęskniła do siostrzyc, co w innych głowach mieszkanie obrały, wybrała się tedy na przechadzkę po syrenim grodzie, zobaczyć to i owo, rozweselić się trochę szczęściem mieszkańców, odcelnąć świeżem powietrzem. Sen udzielił jej urlopu na całą noc, a Wspomnicie nie nie szczędziło rad i wskazówek, aby się w dużem mieście

przypadkiem nie zabląkała. Pamięć dała jej kilka adresów ważniejszych zbiorowisk umysłowych.

— Znajdziesz tam pewnie — mówiła, odprowadzając Myśl aż do poruszanych sennym oddechem warg—niejedną krewniaczkę i zabawisz się lepiej. Będzie ci śmielej.

Tak wyprawiona wybiegła „Myśl o jutrze” z dobrą miną, pewna, że niebawem kogoś ze swoich napotka i w kompanii godziwej rozrywki użyje.

Miasto kąpało się w łunie światła. Z oświetlonych okien płynęły strugi jasności, w kamienicach rozbrzmiewał pogwar zamienianych gorączkowo zdań i słów, po ulicach kręcili się ludzie, toczyły się pojazdy i tramwaje pełne pasażerów.

Myśl, przyjrzawszy się ruchowi ulicznemu, nie tracąc czasu, zwrzesała do kilku napotkanych głów, pukając delikatnie w piąte klepki. Nikt jej nie otworzył. We wnętrzu było, ale pusto, albo też tak pełno,

że dla niej miejsca nie starczyło. Niezrażona, powędrowała dalej, kierując się do wskazanych jej przez Pamięć zbiorowisk umysłowych, w nadziei, że tam już niezawodnie jaką krewniaczkę odnajdzie. Nie wiodło się jej jednak.

W teatrach znalazła entuzjazm i zapał, w klubach ełciwość i dużo napięcia umysłowego, ale pokrewnej istoty ani śladu.

Chciała zawiązać rozmowę, ale powitano ją lekceważeniem i chłodem, jako intruza, wdzierającego się niepotrzebnie do towarzystwa.

Nie chciała się narzucać, ciągnęło ją bo ciągnęło, ale że fundusze miała ograniczone i z wydatkami musiała się liczyć na każdym kroku, więc popatrzywszy chwilkę na rozbawione tłumy, strzepnęła skrzydełkami i pofrunęła dalej śladami przebiegających miasto ludzi.

Jeszcze nie wątpiła, że się przecie choćby z jaką daleką kuzynką zderzy.

Kraźła tak zadumana po wszystkich dzielnicach miasta prawie do północy.

Szła z placu na plac, z przecznicy na przecznicę bez towarzyszki. Samotność zaczynała jej ciężać. Było jej jakoś obco w tem dużem mieście, liczącem kilkakroć sto tysięcy głów, tysiące gmachów wspaniałych, setki szkół i uczelni.

I tak w wędrówce swej dotarła aż na Wołówkę.

Tu kamienice były stare, odrapane, mniej światła w oknach, mniej napozór ruchu.

Znużona chodzeniem, Myśł postanowiła odpocząć. Upatrywała tylko dogodnego na wytelnienie miejsca.

Z jednego z szarych domów przez okratowane, niskie okno, przeświecał niby płomyk lampki, padając odbrzaskiem aż w wyżłobienie rynsztoka.

Myśł zajrzała do środka. I o dziwo! — ku wielkiej chwilowej radości, dostrzegła całe grono zajętych pracą siostrzyc i braci. Były

to także Myśł o jutrze, tylko jakieś zbrukane, zwyrodniałe, pozbawione pierwiastków szlachtetnych, wyzute z sumień, z zaszczerpionym zarazkiem wyzysku.

Na domu był prosty napis „Skład“ i nazwisko właściciela.

Myśł przez wyszczerbioną szybę weisnęła się pomiędzy żelazne kraty do wnętrza i przycupnęła w kąciuku.

W izbie, za stołem zapisanym kredą, siedziało kilkunastu żydów. W ich to głowach właśnie miały siedlisko owe zwyrodniałe siostrzyce. Kręciły się pod czaszkami, rachowały, biegały po złożonych na półkach i zawieszonych na ścianach przedmiotach i wracały z powrotem, brzęcząc jak rój pszczół przy plastrze przaśnego miodu, kręcąc się jak stado czarnych wron za ujrzeniem padliny.

Trzepotały lepkimi od łez ludzkich skrzydłami, ostrzyły oślizgłe w pocie dzioby, zatapiały szpony w rozstawione rupiecie, znosząc

je do mgławego światełka lampki, przeglądając, szacując.

Porozumiewały się między sobą jednym słowem:

— Handel! Handel! Handel!

Każda miała na sobie jarzmo interesu i chciwości.

Widok ten, o ile w pierwszej chwili uradował, o tyle później zmroził przybyłą.

Przysiadła w fałdach rozłożonej na stole jedwabnej sukni damskiej i słuchała, pełna żalu i smutku szczerogo. Zabolalo ją upośledzenie rodziny; żeby nie obawa, iż zostanie dojrzaną, byłaby napewno drapnęła gdzie pieprz rośnie, bo nikt nie lubi się przyznawać do upadłych krewnych.

W dodatku, jeden z żydów, któremu wbiegający przez wybitą szybę powiew zwichrzył białą, długą, jak lniana kądziel brodę, wziął z półek dzierzganą szczychem poduszkę i zatkał otwór.

Musiała przeto Myśl o jutrze rada nie rada, zostać i być niemym

świadkiem tego, co się w izbie działo.

Był to dla niej zawód niemły, bo zamiast rozrywki i wytelnienia, musiała wysłuchać tyrad handlowych, obliczeń, nalykać się cyfr, w dodatku w mało zrozumiałej dla siebie mowie.

Ze zmartwienia wpadła Myśl w stan znieczulenia, w półsen. Jak młynarzy kołyszę do snu turkot żaren, tak ją ukotysał bezustanny szwargot i pełne łapczywych akcentów wykrzykniki:

— Handel! handel! handel!

Kiedy się ocknęła, w izbie było ciemno, tylko przez dziurkę od klucza wciskał się jaśniejszy promyk świtu, świecąc ostrzem sinych światełek prosto w oczy uśpionej.

Zerwała się Myśl na równe nogi, zwłaszcza, że czas jej było wracać do domu — gdy nagle z półek, szaf, ze wszystkich niemal kątów izby zaczęły rozbrzmiewać słumione głosy, niby echa dalekiej rozmowy.

Nadstawiła uszu.

Rozmawiały „martwe istoty“: sprzęty, meble, suknie.

Rozmawiały zupełnie po ludzku, jak goście na rauce. Żaliły się, opowiadały swe przygody, dzieje i losy, niekiedy strzelając sarkastycznym żartem.

Jebwabna suknia, w której się My ś l o j u t r z e ukryła, również bąkała coś szeptem.

Zdjęta ciekawością, My ś l sfrunęła teraz z dotychczasowego ukrycia i weisnąwszy się w najciaśniejszy kącik, jęła słuchać.

Ciekawe były zwierzenia.

Właśnie srebrny, dwuramienny Lichtarz, uderzywszy podstawą o półkę, zabrał głos i zwróciwszy się do zawieszanej na gwoździu aksamitnej Pelerynki, mówił:

— Doprawdy, przyjdzie zardzewieć z tęsknoty za tem, co było. Nie mogę nawet pojąć, jakim sposobem tu się dostałem na stare lata. Służyłem wiernie memu panu, szanowano mnie w całym domu; nie miano przedemną żadnych ta-

jemnic. Stałem zwykle na biurku pańskim, oświetlając wybitą, staromimakatami sypialnię. Niekiedy brano mnie do salonu, gdy się trafiło gości więcej i kolega Żyrandol nie wystarczał. Ale i wtedy byłem blisko pańskiego boku.

Westchnął.

— I praca była lekka! Prawda, że nocna, ale lekka. Stało się na mahoniowym stoliku do kart. Dwie świece nie ciążyły mi zbyt wiele. Nie nudziłem się przytem. Pan grywał w karty.

— Grubo też grano?— spytała, mizdrząc się, Pelerynka.

— O bardzo. Rzucano tysiącami, jak plewą!

— Na gotówkę?

— Na gotówkę i na s ł o w o! Różnie bywało. U nas zbierał się kwiat młodzieży — odpowiadał z dumą srebrny Lichtarz.

— To zupełnie tak samo, jak u mojej pani— zatrzepotała Pelerynka. — Co to były za czasy, co za dobre czasy! Mnie nawet kupiono z „wygranej“. Kosztowałam pięć-

set franków, bo jestem z Paryża — pochwaliła się.

— No, no, no! — zdziwił się Lichtarz.

— A tak. Moja pani ubierała się tylko w Paryżu, lub Wiedniu. Krajowy wyrób nosiła jedynie służba.

— Tylko służba?

— A tak. Szwajcar, lokaje, kamerdynier, panny służące, bo nawet panna do kompanii dostawała od mojej pani suknie od Wortha. Dobrze mi było... Miałam ja i kilka jeszcze innych „fasonów“, osobną orzechową szafę, osobną szczoteczkę z miękkiego włosia do czyszczenia, skrapiano mnie wonnościami, piżmem... A jakże! Żyć, nie umierać. Odpoczywałam po dniach całych. Czasem tylko brała mnie pani na białe ramiona... do teatru, na wizyty... Na codzień były inne. A jakie bywały bale!

— Ba, ba, ba! Wiemy coś o tem — wtrącił się teraz do rozmowy Frak czerwony, poruszając zakurzone — mi połami.

— Jeśli się nie mylę, miałam już przyjemność... *N'est ce pas? monsieur?*

— *Oui! Oui!* Spotykaliśmy się na zabawach. Nosił mnie w karnawale hrabia Fonsio. Bywaliśmy częstym gościem w domu państwa... Nieraz...

Zniżył głos i dokończył szeptem.

Pelerynka poruszyła koronkami wami falbankami.

— Prawda! prawda! — odrzekła słodko. — Przypominam sobie teraz dokładnie. Wyjechaliśmy potem w jednym wagonie za granicę.

— Ja wróciłem wcześniej.

— A my akurat na dwa tygodnie przed...

— Przed czem? jeśli wolno zapytać? — przerwał zaciekawiony srebrny Lichtarz.

— Przed licytacją — westchnęła Pelerynka.

— Niemiła to historia — potaknął również z westchnieniem Frak czerwony.

— Arcy nieprzyjemna — wtrącił Lichtarz i zamyślił się.

— Nigdy się tego nie spodziewała — ubolewała Pelerynka.

— Któż z nas mógł się spodziewać takiego „jutra” — zawtórował Frak czerwony.

— Więc także przez licy?...

Nie dokończyła pytania. Było ono zresztą niepotrzebne.

Czerwony Frak zrobił się jeszcze czerwiejszym ze wstydu.

Lichtarz zgrzytnął:

— Na stare lata! w takim lochu! brr!

Na chwilę zapanowało milczenie.

Po niejakiem czasie odezwała się Pelerynka:

— Co też z nami będzie?

— Za późno po śmierci wędrować — zaśmiał się sucho Lichtarz. — Wszystko mi jedno. Może przetopią... Już mnie targowano. Jakiś jubiler chciał kupić.

— A mnie czapnik na lampasy do czapek — bąknął chmurnie Frak czerwony.

— *Fidone!* — wybuchnęła Pelerynka. — Taki krój... Doprawdy, szkoda by było. Powinni uszano-

wać pochodzenie! Jabym z sobą nigdy czegoś podobnego nie pozwoliła zrobić.

— Niech no się sąsiadka tak nie odgraża — odezwał się na to milczący dotychczas na kołku bajowy Kaftan. — Tu wszyscy jesteśmy równi. Pójdiesz sąsiadka na jarmułki!... na jarmułki!...

Należał niegdyś do sklepikarki, która zbankrutowała na mydlarni, był więc zatłuszczoney i klótlivy.

Oburzona brakiem dobrego wychowania, Pelerynka odwróciła się podszewką; Lichtarz brzęknął groźnie, ujmując się za wydrwiwaną towarzyszką; Frak zaś szepnął kilka uspokajających słówek po francusku, ubolewając nad grubianstwem niższej kasty.

Pelerynka, która się już zabierała do zemdenia, ułagodzona nieco, skierowała rozmowę na inny temat, udawszy, że nie słyszy przytyków Kaftana, który, rozgadawszy się, dogryzał w dalszym ciągu:

— Jaka mi pani! Niby się ja to nie znam na farbowanych lisach...

Dygnitarka! Na perfumy i wody kolońskie to było, ale naftę albo funt mydła to się brało na kredyt! Jaśni państwo!... a upomnieć się było o swoje, to dziesięć razy odprawiali z niczem! Mało to w moich kieszeniach bywało różnych kwitów tych ja s n o ś c i? Dawało się na kredę... przychodzili lokaje... brali i brali... a do płacenia... zdechł pies! Żeby nie twoi państwo, nie kredyt... siedziałbym dotąd na ludzkich plecach, a nie tu w zatęchliźnie wisiał! Na jarmulki pójdiesz, na jarmulki... kredytorko!

Zanosiło się na nową kłótnię, bo rozgniewana zarzutami i obelgami Pelerynka zaczęła już szeleścić puchowem podbiciem, ale pełne takto odezwanie się Lichtarza przeskodziło waśni.

— Wiem, żeście płacili h o n o r o w e długi — przemówił do rozżalonej. — Nie trzeba brać do serca, co gmin mówi.

Tymczasem w drugim rogu izby, gdzie mieściło się różnego rodzaju

żelaziwo, toczono również rozhowor.

Polerowane, hermetyczne Drzwiczki, zaglądnąc ciekawie do emailowanego Rondelka, pytały:

— Dobrze też koledze było na wolności?

— O! i jak! Ja byłem tylko od czekolady i szodonu. Był kucharz. ale najczęściej pani sama gotowała...

— Ho! ho! czekoladę! — dziwił się okopcony żelazny Tygielek, ze śladami rozpuszczonej smoły szewkiej. — Ho! ho! ho! A często to bywało?

— Codzień po południu, a czasem i zrana na drugie śniadanie. Państwo lubili dobrze zjeść i nie żalowali sobie.

— Rychtyczek jak moi szewcy! jak jest, to szelest!... I wędzonka, i wódka, i piwo, i ogórki kiszzone... i gomółki, i śledź marynowany z cebulą...

— Także mi specyały! — zauważył z lekceważeniem Rondelek

a Drzwiczki, skrzypnąwszy zawiąsami — spytały jeszcze:

— Ostatecznie, musiało się kole-dze nieźle powodzić?

— Nie mogę narzekać — odpo-wiedział Rondelek. Do końca ży-wiono mnie dobrze. Na co nie by-ło, to nie było, ale na przysmaczki zawsze! Już się państwo wyprze-dali potrochu z rzeczy, ale o mnie pamiętano. W dniu licytacji goto-wałem kakao...

— Tak to aż miło — potwierdziły Drzwiczki i chciały coś ze swego życia opowiedzieć, ale w tej chwili podniosły się z innych kątów trwo-żliwe głosy, niby wylew żalu za straconą przeszłością:

— Dola-ż moja, dola! — jęczała wyszczerbiona Salaterka z saskiej porcelany.

— Zebym był wiedział, co mnie spotka! — wyrzekł elegancki Zarę-kawek.

— Ja się duszę w tym zaduchu! — załił się kryształowy Flakonik.

— Wolałbym błoto i słotę od tej nory... Jeździło się karetami, a te-

raz u żyda na kołku! — kwękała jedwabiem kryta Szuba. — Wolała-bym powiadam!

— A ja warsztat i pracę od tego przymusowego odpoczynku! — wy-buchnął kowalski Młotek.

— I my! I my! — zawtórowały Heble, Piły, Obcegi.

Nawet pęk Wytrychów, choć nie wzdychał głośno za pracą, poru-szył się niecierpliwie na mosiężnem kółku i warknął:

— Psie życie!

Ustawione na półkach Zabawki dziecinne: Lalki, Koniki na kółkach, Trąbki i różne Gry naukowe za-częły kwilić. Z porostawianych w nieładzie Mebli jał się wydoby-wać jęk głuchy.

Zarzucone na brązowy Świe-cznik różowe Domino zanuciło z „Fausta“:

«Nie! daremnie pytam gwiazd
Wśród bezsennych nocy...»

„Myśli o jutrze“ zrobiło się nad wyraz przykro. O czymś po-

dobnem nie miała najmniejszego pojęcia. Ani P a m i ę ć, ani W s p o m n i e n i e nigdy jej o tem nie mówiły. Te westchnienia, te skargi, te żale i wyrzekania odkrywały przednią świat inny, świat n i e o p a t r z n y, którego ona nie знаła, jak on jej nie znał.

Nie mogła się opędzić strapieniu; zapragnęła uciec coprędzej.

Wysunęła się pocichutku z kącika, podsunęła do dziurki od klucza i wybiegła na świat Boży.

Dniało.

Na mieście gaszono latarnie gazowe; stróże kamieniczni otwierali bramy, poziewając. Z dachów sączyły się krople nocnej wilgoci, niby pot z uznojonego czoła; na niebie gwiazdy bladły i pierzchały w głąb ciemnego lazuru przed słonecznym rydwanem, który toczył się zwolna ze wschodu w purpurowej zorzy rozbrzasku.

Powietrzem szedł odgłos dzwonów.

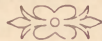
Dzwoniono na „Anioł Pański.“

„Myśl o jutrze,“ nie zatrzymując się, pobiegła do swego mieszkania z pięciu klepek. Spłoszyła sen różowy o zbytku i rokoszy i rozbudziła śpiącego człowieka.

Powstał i wziął się do pracy.

Jego sprzęty nie dostały się nigdy na Wołówkę.

„Myśli o jutrze“ stały na straży.



VIII.

O zmierzchu.



W cukierence wszystkie prawie stoliki zajęte. Niektórzy goście porozsiadali się nawet na bilardzie.

Chłopak roznosi czarną, maza-grany, herbatę. Nastarczyć nie może. Ten i ów woła, wyrzekając na lichą usługę.

— Co to? za swoje pieniądze kawy dostać nie można, panie gospodarzu?

— Już pół godziny czekam!

— Zaraz! zaraz!... Mały! kawa dla pana Weisblatta! Mały! herbata dla pana Rotgolda!.. Dwa mazagrany pod okno! — nawołuje gospodarz,

wybiegając co chwila z za bufetu i uspokajając szanownych gości.

Przywykł już do tego, więc nie wiele sobie robi z wymówek. Wie zresztą, że gdzieindziej nie pójdą. Punkt dobry, klientela wyrobiona, schodzą się wszyscy znajomi, związani wspólnością interesu.

Gospodarz chodzi od stolika do stolika, więcej z ciekawości niż z potrzeby. Lata całe patrzy dzień po dniu na te twarze; wtajemniczył się w ich sprawy handlowe, zna zwyczaje swych gości i nawyknienia. Z miny każdego pozna, w jakim jest humorze, jak mu się interes powiódł.

Właśnie podszedł do tryumwiratu, złożonego z Mośka Filza, Abrahama Kugelmanna i Symchy Apfelsterna. Trzej ci mężowie zajęci byli obliczaniem spółkowych zysków.

— Jakże tam dzisiaj?— spytał gospodarz, klepiąc poufale Mośka Filza w ramię.

Ten skrzywił się, a równocześnie

dwaj towarzysze wzruszyli znacząco ramionami.

— Słyszałem, że tam były niezłe rzeczy, umeblowanie, nakrycia? — dopytywał się właściciel cukierni.

— Kto to panu powiedział! Łajdactwo, starzyzna, a narobili przy tem tyle krzyku, że aż głowa boli. Głupi ludzie! Co tu krzyk pomoże! — objaśnił Symbcha.

— Była cała waryacya — dokończył Kugelmann. — On łamał ręce, żona płakała, dzieci wykrzykiwały. Nie można było słyszeć licytacji. Ja sam się omyliłem i postąpiłem za dużo.

— Dwa razy szacunek... — przytoczył drwiąco Filz.

— Cóż pan nabyłeś? — spytał gospodarz.

— Trochę srebra... noże, widelce, łyżki... Chce pan kupić? Odstąpię tanio. Pan wie, co ja nie lubię zdzierać...

— Trzeba obejrzeć.

— Dlaczego nie! Ja mogę zaraz przynieść. Nie jest tego tak wiele...

— Odłóżmy to do jutra.

— Niech będzie jutro — zgodził się Apfelstern i odciągawszy gospodarza na bok, zaczął przyciszonym głosem omawiać przedugodne punkty przyszłej transakcyi.

Tymczasem przy innych stolikach gwar wzrastał. Sypały się wartkie zdania, urywane wykrzykniki, przeplatane rozkazami:

— Kawa! herbata! mazagran!

Nagle przy ustawionym pod oknem stoliku wszczął się straszny harmider.

Dwaj młodzi latami goście zaczęli przyskakiwać do siebie, kłócąc się zawzięcie. Dwóch drugich godziło.

— Still! stil! mach kein Gewalt!
Was ist dues Lejbuś! Still! Nuchim!
Szweig!

Gospodarz podbiegł żywo zażegnać spór.

— O co to panom idzie?

— To jest oszustwo — wołał Lejbuś.

— Tyś sam oszust! myszygene! — huczał Nuchim, ukrywając pod chałatem jakiś przedmiot.

— Ja kupiłem!
— Spółka była!
— Ja twoją część płacę!
— Ja nie chcę brać!
— Still! still! Szwaię! a pokręcone pałke!

— Nie jeszcze nie rozumiem. O cóż panom idzie? — ponowił pytanie właściciel zakładu.

— Ja powiem — wrzasnął jeden z godzących—oni kupili ramy...

— Ze złoconej blachy — wtrącił Lejbuś:

— Z czystego złota!—wybuchnął, przerywając, Nuchim.

— Still! I zrobiali układ. Nuchim dał Lejbusiowi odstępc...

A on teraz nie chce! — wykrzyknął Nuchim.

— Bo to jest całe oszustwo!—za-protestował Lejbuś. — Falszywa taksa! Ja chcę zrobić drugi szacunek. Ja nie potrzebuję być stratny!

— Er hat recht!—ujął się za Lejbusiem jeden z towarzyszków.

— Nie chcę—bronił się Nuchim.— Ja ryzykowałem, ja dawałem odstępc! Ja nie chcę więcej wiedzieć...

— Ty jesteś cały rozbójnik!

— Gaj weg!

Przyskoczyli znów do siebie.

Gospodarz, który niejednokrotnie roztrząsał w pierwszej instancji spory swych gości, zaczął łagodnie:

— Fe! kto widział! Panowie kupcy! Milsza chuda zgoda, niż tłusta awantura... Jeszcze kto usłyszy i będzie kłopot...

Udało mu się rozgrodzić zacie-trzewionych wspólników.

— A gdzie są te ramy! Macie je panowie przy sobie?—zapytał, domyślając się, że złote ramki nie mogą być dużej wielkości.

— On je schował — wykrzyknął Lejbuś, wskazując na Nuchima.

— Pokaż pan — zwrócił się teraz do ostatniego właściciel cukierni.

Drżące ręce Nuchima zanurzyły się pod połą chłata.

I oczom obecnych ukazała się artystyczna helliominiatura młodej kobiety w złotej oprawie.

W tej chwili druga para rąk z zakrzywionemi palcami, jak szpony krogulca, mignęła w powietrzu. Były to ręce Lejbusia.

Dosięgnął minintury, chcąc ją wyrwać. Nuchim szarpnął rozpaczliwie, nie puszczając.

Posypał się znów grad obelg i wykrzykników.

Lejbuś targnął, targnął i Nuchim. Zanim zdołano pośpieszyć z rozejmem, kruche szkło malowidła i samo malowidło na kości słoniowej rozprysło się w drobne kawałki. Między palcami przeciwników zostało tylko ogniwo—złote ramki.

Widok szkody ochłodził nieco zapalczywość zwaśnionych współników. Nie puścili jednak ramek.

Galerya wybuchnęła oburzeniem.

— Wstyďte się! — wołano — to kupcy tak robią?... porządni handlujący? Wstydz się Lejbuś! Wstydz się Nuchim!

Jakoż widocznie wstyd skruszył serca przeciwników, bo równocze-

śnie zwrócili się do gospodarza, wołając:

— Niech pan weźmie!

— Niech pan weźmie!

— Niech pan rozsądzi!

— Niech pan rozsądzi!

— Spełnił ich życzenie, wziął *corpus delicti* do rąk i obejrzawszy uważnie, rzekł:

— Trzeba zważyć.

— Zważyć! Zważyć! — powtórzo-
no chórem.

Ruszono tłumnie do bufetu.

Małe mosiężne wagi od „pomadek“ posłużyły tym razem do wymiaru sprawiedliwości.

O stłuczoną miniaturę nikt się nie troszczył, zgnieciono ją do reszty nogami.

Ważenie trwało niedługo. Ramki ważyły pięć łutów, przeto na każdego współnika wypadło po 2½ łuta. Pod tym względem wyrok był nieodwołalny i przez obydwie strony zaakceptowany.

Kwestya sporna ograniczała się obecnie tylko do wartości złota. Nuchim przekonywał, że nie trzyma

próby. Lejbuś przeciwnie twierdził.

— Czyste, dukatowe jest!—wołał co chwila podniesionym głosem.

Jeden z pomysłowych gości zaproponował powtórna licytację od sumy ofiarowanej przez niego.

Obaj współnicy przystali po namyśle.

Rozpoczęły się tedy przetargi.

Gospodarz, trzymając ramki w górze, wygłaszał zaofiarowane kwoty.

Wszyscy goście licytowali. Nawet chłopak cukierniczy, udając słomianego licytanta, dorzucał niekiedy po kopiejce.

Rezultat przechylił się na stronę Lejbusia. Za ramki dano więcej o całego rubla kopiejek trzydzieści osiem, niż dawał Nuchim. Kupił Apfelstern, specjalista od „drogich metalów.“

Zapanowała zgoda i cisza.

Kłócący się przed chwilą współnicy zasiedli najspokojniej przy stoliku, popijając w najlepszej harmonii dla uspokojenia wzburzo-

nych nerwów, mazagran z jednego kufła.

Te same ręce, które przed paru minutami wydzierały sobie licytacyjną zdobycz, trzymały teraz dwie słomki kruche; też same usta, pełne dopiero co obelżywych wyrazów, pociągały teraz chłodny napój z jednego naczynia, tylko niekiedy, jako wspomnienie, wybiegało z piersi biesiadników:

— Ty jesteś wielki gwałtownik, Lejbele...

— Straszny z was gorączka, Nuchim...

W tych słowach nie było już ani goryczy, ani zawiści, tylko niejako chęć prostowania obopólnych ułomności.

I byłaby sprawa „ramki“ porgrzebaną prawdopodobnie na zawsze, gdyby nie nadejście elegancko ubranego mężczyzny, który wszedłszy do „zakładu,“ zwrócił się do gospodarza z zapytaniem:

— Czy u szanownego pana nie bywają przypadkiem kupecy...

Wymienił imiona Lejbusia i Nuchima.

— Są właśnie — odpowiedział cukiernik, wskazując na siedzących przy stoliku współników.

— Nowoprzybyły przybliżył się.

— Mam do panów interes — zaczął.

— Jesteśmy — odpowiedzieli obaj, mierząc nieznanego przenikliwym spojrzeniem.

Przybyły mówił w dalszym ciągu:

— Dziś była licytacja u państwa X., moich kuzynów. Spóźniłem się... mieszkam na wsi — tłómaczył się niejako — bo byłbym do takiej ostateczności nie dopuścił. Stało się... Idzie mi głównie o jeden przedmiot. Komornik objaśnił mnie, że to panowie nabyliście heliominiaturę...

— My! my!

— Dam dobre odstępne...

Obaj współnicy porwali się za głowy.

— Dam dobre odstępne — powtórzył przybyły.

— Kiedy... Kiedy...

— Dam sto rubli!

— A hundert kerbel! — jęknął Lejbus i skoczył do Apfelsterna.

Ten, nasłuchując z boku, zbliżył się właśnie.

— Niech pan dobrodziej pozwoli. Ja odkupiłem od te kupy, ale możemy zrobić interes — przemówił z ukłonem. — To bardzo ładne i kosztowne ramki, czyste złoto.

Lejbus i Nuchim stali oniemieli, skamieniali.

— Zatem? — spytał przybyły.

— Nie pójdziemy do wójta — mówił układny Apfelstern, lykając ślinkę.

Wydobył ramki.

Przybyły cofnął się z przerażenia.

— A gdzie miniatura? — wybuchnął.

— Obrazek?

— Tak!

— Oni go potłukli — objaśnił spokojnie Apfelstern, nie zdając sobie jeszcze dokładnie sprawy z sytuacji.

Kilku żydów rzuciło się łapczywie zbierać potłuczone kawałki,

Przybyły przez chwilę nie mógł przemówić z oburzenia. Powiódł wzrokiem po podłodze. Rozbite malowidło, podeptane na okruchy, wałało się pod nogami żydowskimi.

— Barbarzyńcy! — wybuchnął. — To było prawdziwe dzieło sztuki, dziesięć, sto razy więcej warte od tych ram!

Splunął i wyszedł.

Pięść Nuchima spoczęła na głowie Lejbusia.

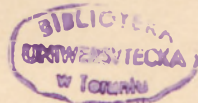
Tego dnia do szpitala żydowskiego przywieziono dwóch poturbowanych pacjentów. Do sądu pokoju wniesiono dwie sprawy o pobicie. Symcha Apfelstern ma stawać na świadka.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

— 8 —

Zamiast wstępu	5
Za drogo	13
Podbijacz	38
Pierzynkowy interes.	44
Pamiętka	65
W sąsiedztwie rabina	80
Na Wołówce	87
O zmierzchu	106



Biblioteka Główna UMK



300020501709

317152

317152

0200

401

50

11-

